



# SYSTEM PASOŻYTNICZY W ROZKWICIE

**W numerze:**

<b>Jak dorobić się na państwie. Renta polityczna w Polsce PiS</b>	
Stefan Sękowski. ....	3
<b>Kto zarobił na epidemii?</b>	
Piotr Celiński . ....	11
<b>Jak wygląda lobbing w Polsce?</b>	
Anna Szczerbata. ....	15
<b>Biznes partyjny, czyli pogoń za rentą po środkowoeuropejsku</b>	
Z Mikołosem Szanyim rozmawia Stefan Sękowski . ....	20
<b>Co PiS-owi nie wyszło? Spojrzenie na Polskę B</b>	
Krzysztof Wołodźko . ....	27
<b>Polska na rozstajach, czyli pułapka Naszyzmu</b>	
Przemysław Gębała . ....	32
<b>Mimo wszystko... czyli o motywacjach wyborczych Polaków</b>	
Anna Szczerbata . ....	41
<b>Tajemnica wysokiej frekwencji</b>	
Z prof. Jarosławem Flisem rozmawia Natalia Kołodyńska-Magdziarz. ....	46
<b>Białoruś, czyli masa upadłościowa</b>	
Marek Budzisz . ....	53
<b>Między Tutsi a Hutu. Jak zjednoczyć skłócone społeczeństwo</b>	
Konrad Gadera . ....	56

Dofinansowano ze środków  
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego  
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.



# Jak dorobić się na państwie. Renta polityczna w Polsce PiS



## STEFAN SĘKOWSKI

Zastępca Dyrektora „Nowej Konfederacji”,  
kierownik sekcji Publicystyki

### System polityczno-gospodarczy, jaki wprowadza w Polsce rząd Zjednoczonej Prawicy ułatwia drenowanie państwa przez różne grupy interesów

Zdziwili się Państwo, gdy okazało się, że Ministerstwo Zdrowia kupiło maseczki od instruktora narciarstwa i handlarza oscypkami? Zaskoczyła Państwa (rodziców i właścicieli firm turystycznych być może pozytywnie) propozycja bonu turystycznego? A co powiedzieli Państwo na kuriozalny pomysł rozpisania przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji konkursu na najwyższą frekwencję wyborczą wśród gmin do 20 tys. mieszkańców, w którym nagrodą był nowy wóz strażacki? A wcześniej, jeszcze przed epidemią, czy byli Państwo zaskoczeni obсадzaniem spółek skarbu państwa działaczami partyjnymi? Nie ma się czemu dziwić. Takie sytuacje zdarzają się wszędzie i pod rządami każdej partii, nawet takiej. Także pod rządami Prawa i Sprawiedliwości, mimo iż politycy tej partii mocno podkreślają, że „wystarczy nie kraść”, by kraj się rozwijał.

#### Państwo jako dojna krowa

Jak to się dzieje, że państwo drenowane jest przez wszystkich, bez względu na

barwy polityczne? W zrozumieniu tego zjawiska pomaga nam ekonomiczna teoria wyboru publicznego. W uproszczeniu zakłada ona, że uczestnikami życia politycznego są egoistyczne jednostki starające się poprzez działalność publiczną maksymalizować swoją użyteczność (w sensie swoich korzyści). Temu przede wszystkim mają służyć decyzje podejmowane przez rządzących, a także przez wyborców przy urnach. Nie oznacza to, że nie istnieje dobro (czy też: dobra) wspólne – a raczej, że dla obywateli ma ono poślednie znaczenie, podporządkowane ich prywatnym korzyściom.

Nie jest to z pewnością cała prawda o naturze ludzkiej i życiu społecznym. Potrafimy być także altruistyczni i wspólnotowi – zresztą wydaje się, że sama teoria wyboru publicznego powstała jako próba wytłumaczenia, dlaczego nieustannie walimy głową w mur, walcząc z różnego rodzaju przywilejami i życiem jednych ludzi kosztem innych. Jednak ta perspektywa bardzo pomaga nam w zrozumieniu, dlaczego dochodzi do tak kuriozalnych ruchów jak np. ograniczanie dostępu do

wykonywania różnych zawodów, udzielenie koncesji na prowadzenie stacji radiowej w epoce cyfrowej czy różnego rodzaju „słomiane” inwestycje. Jeśli odsuniemy na bok wzniosłą argumentację, okaże się, że każda tego typu inicjatywa ma swoich całkiem konkretnych beneficjentów, którzy w najgorszym wypadku tylko lub przede wszystkim, w najlepszym, przy okazji, korzystają na tym, że państwo podejmuje decyzje tworzące rentę polityczną.

**Jarosław Kaczyński już w latach 90-tych zauważył, że do działalności politycznej potrzebne są pieniądze. Spółki skarbu państwa traktowane są w tym kontekście także jako źródło środków służących do finansowania kolejnych potencjalnych zwycięstw wyborczych**

Renta polityczna to korzyść płynąca z różnego rodzaju ingerencji czy aktywności państwa w gospodarce. Aby ją zdobyć, jednostki bądź grupy uczestniczą w pogoni za rentą (ang. *rent-seeking*), prowadząc różnego rodzaju akcje (legalne i nielegalne), takie jak lobbing, aktywizm polityczno-społeczny czy korupcja. Renta polityczna jest partykularnym zyskiem, na który składa się społeczeństwo. Jednak dodatkowe koszty wiążą się także z samą pogonią za rentą: ludzie zużywają na jej

zdobycie zasoby, które mogliby spożytkować bardziej produktywnie, zaspokajając potrzeby konsumentów.

Nie znaczy to, że każda aktywność państwa w gospodarce – bezpośrednio, jako prowadzącego działalność gospodarczą, czy pośrednio, jako regulatora – jest zła. I ona może przynosić korzyści. Także szczerym zwolennikom aktywności państwa, które przez regulacje, inwestycje czy konkretną formę działalności gospodarczej może ich zdaniem przynieść korzyści swoim obywatelom, powinno zależeć na tym, by renta ta była jak najmniejsza, a tym, którzy mają na nią chrapkę, było ją trudno zdobyć.

### **Rozdzielaj i rządź**

Sławomir Sztaba, świadom tego, że zjawisko można jedynie próbować ograniczać, a całkowicie zwalczyć się go nie da, gorzko konstatawał w książeczce „Pogoń za rentą” (pod redakcją swoją, Mirosława Raczyńskiego i Aleksandry Walczykowskiej), że „dla racjonalnych, w sensie ekonomii neoklasycznej, indywidualów, pozostaje jedyna rozsądna, choć dość cyniczna, droga – przyłączyć się do skutecznej grupy interesów. (...) Jednostki inaczej pojmujące racjonalność mogą próbować ograniczać nieczne praktyki grup interesów. Pierwszym krokiem w tym kierunku jest zapewne upowszechnianie informacji o rzeczywistych motywach i skutkach działań, które grupy interesu skrywają pod napuszoną retoryką”. Temu ma właśnie służyć ten artykuł.

Instytucje – formalne, takie jak np. prawo, czy nieformalne, takie jak obyczaje, mogą pogoń za rentą ułatwiać bądź utrudniać. Niestety, wiele wskazuje na to, że rządy Zjednoczonej Prawicy w wielu aspektach ją ułatwiają.

Jedną z metod rozdzielania renty politycznej jest kierowanie jej do konkretnych grup beneficjentów, na zasadzie „dla każdego coś miłego”. „Polski model państwa opiekuńczego” obejmuje przede wszystkim rodziny z dziećmi. Ta forma **redystrybucjonizmu** oznacza przekazywanie środków w postaci programu 500+ czy pochodnych (np. „piórnikowe”) bezpośrednio do rodziców. Pieniądze trafiają także do innych grup, np. do osób starszych (trzynasta emerytura).

Ten przykład już od razu powinien nam pokazać, że sprawa z rentą polityczną nie jest jednoznaczna. I program 500+ przynosi pozytywne skutki – np. spadek ubóstwa skrajnego wśród dzieci. Nie zmienia to faktu, że to forma klientelizmu, czyli przekazywania środków z nadzieją na to, że zaowocują one poparciem w kolejnych wyborach. Kosztem społecznym można tu nazwać wzrost zadłużenia, przekazywanie środków rodzinom, które tego nie potrzebują, a także – jeśli nieco nagnie się podstawową teorię pogoni za rentą (z korzyścią dla rzeczywistości) – brak rozwoju usług społecznych, które przynosiłyby korzyści całej społeczności. To samo dotyczy się „trzynastych emerytur”, które nie trafiają do najbardziej zagrożonych ubóstwem grup, a do osób istotnych z wyborczego punktu widzenia. Na tego typu transferach korzystają także pośrednio przedsiębiorstwa świadczące usługi bezpośrednim beneficjentom. To ważne zwłaszcza w kontekście „drugiej fali prywatyzacji”, o której pisze Łukasz Pawłowski. W chwili, gdy nasze usługi publiczne (edukacja czy opieka zdrowotna) są niedoinwestowane, dzięki transferom rośnie rynek prywatnego szkolnictwa czy lecznictwa.

Prawo i Sprawiedliwość chce także zastąpienia kapitalizmu międzynarodowego czymś, co nazwałbym **kapitaliz-**

**mem narodowym**. W tym duchu działa na rzecz małych i średnich przedstawicieli wybranych krajowych branż – jak w przypadku ograniczenia możliwości prowadzenia aptek („Apteka dla aptekarza”) czy sprzedawania w niedzielę w sklepach nienależących do osób, które sprzedaż prowadzą. Beneficjentami są ci, którym uda się wpasować w regulacje. Korzystają oni na zmniejszonej konkurencji na rynku, z kolei tracą na tym ci, którzy mają utrudniony dostęp do usług.

### **Drenowanie przedsiębiorczego państwa**

Ogromne pole do pobierania renty politycznej tworzy także **kapitalizm państwowy** – inny element doktryny ekonomicznej PiS. Widoczne jest wstrzymanie procesu prywatyzacji (wręcz oficjalne, poprzez uchwalenie w 2016 roku ustawy o zarządzaniu mieniem państwowym) i stawianie przed spółkami skarbu państwa coraz to nowych celów. Nie ukrywam swojego dystansu wobec aktywnej działalności państwa w gospodarce, a także daleko idących wątpliwości co do tego, czy jest ono co do zasady w stanie lepiej zaspokoić potrzeby obywateli, w przeciwieństwie do ambicji polityków pozostawienia po sobie trwałego pomnika swych rządów, czy też właśnie źródła korzyści majątkowych. Jednak nawet jeśli zawiesimy te wątpliwości, to także zwolennicy kapitalizmu państwowego przyznają, że im większa ingerencja państwa w gospodarkę i jego obecność na rynku, tym większa pokusa, by na tym skorzystały różnego rodzaju siły. Sęk w tym, jak im to utrudnić, z korzyścią dla ogółu.

Niestety, PiS im tego nie utrudnia. W innym artykule wspominałem badania przeprowadzone przez Bartosza Totleben,

Katarzynę Szarzec i Andreeasa Kardziejonka, z których wynika nie tylko, że SSP służą jako źródło synekur dla politycznych krewnych i znajomych (zresztą jak i za poprzednich rządów), ale także, że to zjawisko za rządów PiS się nasiliło. Nie można z góry stwierdzić, że ruchy kadrowe w spółkach służą wyłącznie podmianie „cudzych” ludzi na „swoich”, jednak skala jest znacząca. Warto też wskazać, że PiS

**Istotne poszlaki wskazują na to, że politycy i działacze obsadzani w spółkach skarbu państwa są opodatkowani, bądź dobrowolnie się opodatkowują na rzecz komitetu wyborczego PiS**

ułatwiło np. zatrudnianie w Agencji Mienia Wojskowego osób bez konkursów. Z kolei zmiana Ustawy o służbie cywilnej uchwalona na samym początku rządów Beaty Szydło, doprowadziła do tego, że „dyrektorzy generalni oraz kierujący departamentami we wszystkich urzędach administracji rządowej zatrudniani są na podstawie powołania. Mogą też być w dowolnym momencie odwołani ze stanowiska”, jak można przeczytać w raporcie Fundacji Batorego „Stanowiska publiczne jako łup polityczny”. Podobnie ma się sytuacja w spółkach skarbu państwa, np. z przekazywaniem środków, jakimi dysponują spółki, na sponsoring sportowy czy wykup reklam w mediach nastawionych przyjaźnie do rządu. Jak wykazała

kontrola Najwyższej Izby Kontroli, w latach 2015-2017 szczególnie wzrosły wydatki na darowizny z tego tytułu – jak wskazuje NIK, jest to z punktu widzenia darczyńcy najmniej korzystna forma wsparcia różnych inicjatyw. Spośród 20 kontrolowanych firm państwowych aż 12 nie przestrzegało własnych regulacji dotyczących sponsoringu, a „w 10 spółkach naruszano zasady zlecenia usług medialnych i doradczych”. Jak podaje NIK, w badanym okresie „łączna kwota wydana z naruszeniem zasad należytego zarządzania finansami wyniosła blisko 11 mln zł” (z ponad 1,5 mld wydanych na te cele).

Praktyk tych nie powinno się jednak traktować jako przejawów czystego patronażu. Owszem, można tu wskazać konkretnych beneficjentów (osoby powoływane do władz poszczególnych spółek czy media bądź organizatorzy np. imprez kulturalnych korzystających ze wsparcia SSP), jednak nie są to często aktorzy zewnętrzni, a ludzie stanowiący część obozu Zjednoczonej Prawicy. Jarosław Kaczyński już w latach 90-tych zauważył (inaczej niż wielu jego bardziej idealistycznych konkurentów, o których dziś mało kto już pamięta), że do działalności politycznej potrzebne są pieniądze. SSP traktowane są w tym kontekście także jako źródło środków służących do finansowania kolejnych potencjalnych zwycięstw wyborczych. Oczywiście – nie bezpośrednio, jednak istotne poszlaki wskazują na to, że politycy i działacze obsadzani w SSP są opodatkowani, bądź dobrowolnie się opodatkowują na rzecz komitetu wyborczego PiS. Jak pisała Anna Dąbrowska w „Polityce”, w 2019 roku „ludzie z rządów państwowych spółek i w jakiś sposób z nimi powiązani” wpłacili na kampanie wyborcze PiS ponad 2 mln zł darowizn.



Także zmiany w strumieniach środków płynących do mediów mogą świadczyć o tym, że jest to forma budowania własnych mediów przez obóz PiS. Pieniądze te trafiły przede wszystkim do środków przekazu przyjaznych opcji rządzącej lub przynajmniej niechętnych wobec opozycji. Dzieje się to kosztem radykalnie ograniczonych reklam w mediach opozycyjnych. To jeszcze pół biedy: gorzej, że dotyczy to także nierzadko np. czasopism branżowych lub takich, które hipotetycznie miałyby lepszy dostęp do odbiorców. Przykładowo w przypadku reklam telewizyjnych nie ma to także związku z ich oglądalnością – z raportu przygotowanego przez prof. Tadeusza Kowalskiego z Uniwersytetu Warszawskiego wynika, że w 2019 roku SSP wykupiły w TVN czas reklamowy za 31 mln zł, czyli 4 razy mniej niż w Polsce (123 mln), choć obie stacje mają porównywalną oglądalność (w przedziale wiekowym 16-49) i również 4 razy mniej, niż w TVP1 (124 mln), choć oglądalność TVN jest prawie dwukrotnie większa. Pojawia się pytanie, na ile te wydatki na reklamy nie mają na celu promocji przedsiębiorstwa, a bardziej wsparcie finansowe mediów bliskich władzy.

### Naszym wolno więcej

Nie oznacza to, że zawsze kapitalizm państwowy musi kończyć się drenowaniem państwa, choć jest to z pewnością system, który temu sprzyja. Słusznie wskazuje Joshua Kurlantzick w książce „State Capitalism” na to, że da się tego rodzaju tendencje powściągnąć przez utrzymywanie systemu demokratycznego, transparentność, otwartość gospodarki czy funkcjonowanie przedsiębiorstw państwowych w rynkowym otoczeniu gospodarczym. Przykładowo w Norwegii przejrzy-

tość jest przestrzegana do tego stopnia, że „New York Times» wykorzystując te procesy był w stanie pozyskać ogromną liczbę wewnętrznych e-maili norweskich urzędników rządowych, konkretne umowy między rządem norweskim a amerykańskimi think tankami oraz wewnętrzne raporty opracowane przez norweskie ministerstwo spraw zagranicznych, zawierające strategie lobbingu w Waszyngtonie w zakresie polityk, które przyniosłyby korzyści Statoil”. Amerykański autor pisze też, że norweskie firmy państwowe obowiązują regulacje ograniczające możliwość wykorzystywania ich do celów politycznych. Tymczasem w Polsce panuje kultura tajności, której symbolem jest brak przejrzystości płać czy umów zawieranych nie tylko przez SSP ale także przez urzędy czy spółki samorządowe.

Niestety w pilnowaniu władzy w tym zakresie nie pomaga „czwarta władza” (która także jest beneficjentem tego systemu). Widać tu wyraźny podział na media opozycyjne i prorządowe. Zdarza się, że dziennikarze, którzy zgodnie z arkanami sztuki zadają trudne pytania politykom PiS lub np. biurom prasowym ministerstw, nie tylko nie otrzymują od nich odpowiedzi (lub otrzymują odpowiedzi zdawkowe), ale także jeszcze przed publikacją znajdują własne tematy... na łamach konkurencji bardziej przyjaźnie nastawionej do władzy. Te publikują „sensacyjne” materiały o tym, jak ktoś szykuje „szczucie” czy inną „nagonkę” na polityków „dobrej zmiany” – lub też wywiady, w których politycy w wygodny dla siebie sposób tłumaczą się z zarzutów, których jeszcze nikt nie postawił. To znieczula odbiorców na informacje, które mogłyby zachwiać ich wiarę w uczciwość polityków obozu, który aktualnie popierają.

Podójście takie bierze się niestety z zepsutej kultury politycznej naszego kraju. W ramach polaryzacji u wielu osób wykrystalizowało się poczucie, że „naszym wolno więcej”. Wbrew oficjalnemu oburzaniu się wszystkich na przykłady klientelizmu, jest on dość powszechnie tolerowany, z tym zastrzeżeniem, że tolerancja ogranicza się do obozu politycznego, z którym się jest związanym lub któremu się kibicuje. Pelikany i lemingi stanowią jeden front obrony klientelizmu (FOK). „Foki” klaszczą, ale tylko wtedy, gdy karygodne działania wykaże się drugiej stronie. Milczą jednak, gdy okazuje się, że we własnym obozie coś jest nie tak, albo też organizują kampanie broniące ich „dobrego imienia” i/lub próbują oczernić tych, którzy wskazują na patologie.

### Czy Temida patrzy?

Pogoń za rentą ułatwia także system polityczny montowany przez obóz obecnie rządzący. Już dziś uzasadnione jest mówienie o demokracji nieliberalnej w Polsce. Mimo formalnie istniejących zapisów w Konstytucji i ustawach, mamy do czynienia z wyłączeniem lub osłabieniem instytucji kontrolnych państwa. Trybunał Konstytucyjny został przez PiS przejęty jeszcze w 2015 roku i w ciągu kolejnych lat obsadzony głównie ludźmi wiernymi obozowi politycznemu Jarosława Kaczyńskiego. O ile jeszcze we wrześniu 2015 roku dobrze Trybunał oceniało 49 proc. ankietowanych przez CBOS, a źle – raptem 12 proc., o tyle od kiedy PiS rozpoczął swoją walkę z sądem konstytucyjnym, jego renoma zaczęła spadać na łeb na szyję (w marcu 2020 zadowolonych z jego działania było tylko 30 proc. ankietowanych) i do tej pory odsetek oceniających pozytywnie tę instytucję nie przewyższył

odsetka „pesymistów”. Utrata autorytetu wyraża się nie tylko niskim poparciem w sondażach, ale także np. niskim zainteresowaniem składaniem skarg do Trybunału przez obywateli. Trudno liczyć na obiektywną ocenę zgodności z Konstytucją ustaw, które mogłyby wpływać na pobieranie renty politycznej.

**Zdarza się, że dziennikarze, którzy zgodnie z arkanami sztuki zadają trudne pytania politykom PiS lub np. biurom prasowym ministerstw, nie tylko nie otrzymują od nich odpowiedzi (lub otrzymują odpowiedzi zdawkowe), ale także jeszcze przed publikacją znajdują własne tematy... na łamach konkurencji bardziej przyjaźnie nastawionej do władzy**

Także w wymiarze sprawiedliwości sytuacja nie wygląda najlepiej. Podporządkowanie Prokuratury Generalnej i kolejne zmiany w funkcjonowaniu sądownictwa tworzą rozwiązania, które mogą utrudniać ukrócanie niezgodnych z prawem form pogoni za rentą. Pewnym paradoksem jest, że o względnej niezależności Najwyższej Izby Kontroli zdecydowało to, że jej nowy prezes Marian Banaś wszedł



w konflikt z obozem PiS, z którego się wywodził, z powodu... poważnych wątpliwości wobec jego oświadczeń majątkowych z przeszłości. Warto zauważyć, że w ubiegłym roku Polska spadła w rankingu percepcji korupcji Transparency International z 36. na 41. miejsce (na 180).

Problematyczne jest także to, na ile Komisja Nadzoru Finansowego rzetelnie sprawuje swoje funkcje. Po tym, jak „Gazeta Wyborcza” opisała, jak jej były już szef Marek Chrzanowski miał oferować Leszkowi Czarneckiemu (właścicielowi Getin Noble Bank) „ochronę” przed niepożądanymi z punktu widzenia jego interesów działaniami w zamian za łapówkę, pojawiły się podejrzenia, że i w sektorze finansowym możemy mieć struktury prowadzące do pozyskiwania renty politycznej.

### **W interesie nas wszystkich**

Jasne, że Polska i za rządów PO-PSL, a także wcześniejszych, nie była wolna od pogoni za rentą. Pisał o tym zresztą Bartłomiej Radziejewski, przedstawiając „III RP jako system pasożytniczy”. Przerośnięty sektor publiczny, który nie przekłada się na jakość usług, niska jakość instytucji takich jak sądownictwo czy prawne otoczenie działalności gospodarczej, wysoki klin podatkowy, eskalacja długu publicznego, kupczenie stanowiskami w administracji i sektorze przedsiębiorstw państwowych, wpływ wielkiego kapitału na kształt państwa – tak rzeczywiście wyglądała Polska za czasów rządów PO-PSL i wcześniej.

Tylko że obecnie od 5 lat żyjemy w państwie rządzone przez PiS, w systemie tworzonym przez PiS, w którym to jednostki i grupy wskazane przez PiS korzystają z różnego rodzaju uregulowań. Można także wskazać na pozytywne zmia-

ny, które ograniczają drenowanie państwa (walka z wyłudzeniami VAT), co nie zmienia faktu, że w zakresie utrzymywania w Polsce państwa drapieżczego (*predatory state*) PiS nie tylko utrzymuje wcześniejsze patologie, ale także dobudowuje do tego gmachu kolejne kondygnacje. I nie pozbędziemy się ich, jeśli duża część obywateli będzie uważała, że przecież zawsze tak było, więc w sumie nic się nie dzieje.

Nie zmieniło tego samo odsunięcie od władzy koalicji PO-PSL i nie zmieniło tego odsunięcie od władzy PiS. Aby ograniczyć drenowanie państwa, trzeba mieć świadomość głębokich uwarunkowań tego zjawiska. Z pewnością wycofanie się państwa z części sfer życia społecznego i gospodarczego już zmniejszyłoby rozmiar procederu. Arbitralne wybieranie poszczególnych grup społecznych, branż czy grup zawodowych, udzielanie im przywilejów i wspieranie w inny sposób nie służy na dłuższą metę społeczeństwu. Ma natomiast dowartościowywać wybrańców i skłaniać ich do głosowania na tych, którzy tych przywilejów im udzielają. Trudno będzie zatrzymać redystrybucjonizm i kapitalizm narodowy bez zmiany mentalnej. Nie da się bowiem wprowadzić regulacji zakazującej uchwalania prawa wprowadzającego przywileje dla poszczególnych grup. Pewną pomocą może być większa transparentność dotycząca działalności lobbingsowej. Większa przejrzystość może pomóc także w zwalczaniu patologii drenowania sektora przedsiębiorstw państwowych i administracji. Tu przydałyby się regulacje w większym stopniu otwierające dostęp do informacji np. na temat płać czy umów zawieranych przez państwa. O dostęp do nich walczą głównie organizacje pozarządowe, takie jak Watchdog Polska czy Fundacja Wolności, które wytaczają (i często wygrywają) spółkom od-

mawiającym im udzielenia informacji publicznej sprawy sądowe. Wiele z tych informacji powinno być dostępnych z automatu.

Zasadniczo jak najwięcej naborów na stanowiska powinno być objętych obligatoryjnymi i – znowu - transparentnymi konkursami. Należałoby też wprowadzić ograniczenia dotyczące działalności marketingowej i sponsoringu spółek skarbu państwa. Co do zasady powinny one służyć budowaniu rozpoznawalności i dobrych skojarzeń z marką – i z tego spółki powinny być rozliczane, jeśli prowadzą tego typu działalność. Nie ma jednak potrzeby, by tego typu wydatki ponosiły np. spółki będące monopolistami w swoich branżach. Można czasem odnieść wrażenie, że finansowanie działalności sportowej czy kulturalnej przez SSP to coś w rodzaju zastępczego finansowania z budżetu państwa. Jednak nie od tego są państwowe spółki. Należałoby też zastanowić się nad utrudnieniem udzielania przez SSP darowizn, zwłaszcza na tak wątpliwe z punktu widzenia interesu publicznego inicjatywy jak Polska Fundacja Narodowa, prowadząca de facto prorządową propagandę za publiczne pieniądze. *Last but not least* – nie powinno się zamykać na prywatyzację kolejnych spółek, bo nie wszystkie powinny zostawać w gestii rządu.

W ostatecznym rozrachunku potrzebujemy zmiany podejścia do pogoni za rentą. Wiedza o tym, że jakiś polityk zaproponował jakąś zmianę, ponieważ namówił go do tego przedstawiciel jakiegoś związku branżowego, powinna przede wszystkim szokować, a tego nie robi. Jesteśmy w momencie, w którym musimy sobie jako wspólnota uświadomić, jak ważne jest to, by władza była ograniczona, by istniał solidny system kontroli: niezależne sądy, sprawne instytucje kontrolne,

media patrzące władzy na ręce i społeczeństwo obywatelskie. Tu trzeba zdystansować się wobec bliskiego obozowi PiS decyzyzjonizmu, wskazując na to, że prawo w pierwszej kolejności ma chronić nas przed złymi decyzjami rządzących, a nie ułatwiać im podejmowanie potencjalnie dobrych (oczywiście z zachowaniem zasady proporcjonalności). Niezależność sędziowska, nieodzowna także dla minimalizowania rozdzielania renty politycznej,

**Należałoby też zastanowić się nad utrudnieniem udzielania przez SSP darowizn, zwłaszcza na tak wątpliwe z punktu widzenia interesu publicznego inicjatywy jak Polska Fundacja Narodowa, prowadząca de facto prorządową propagandę za publiczne pieniądze**

nie polega na tym, że sądzą sędziowie zależni od „naszych” polityków albo zależni tylko od siebie. Gdy na nowo odkryjemy istotę praworządności, łatwiej nam będzie opracować konkretne rozwiązania, także w regulacjach dotyczących sfer, z których państwo się nie wycofa.

Przed wszystkim jednak trzeba mieć świadomość, że ograniczenie pogoni za rentą leży w naszym wspólnym interesie. Na drenowaniu państwa i społeczeństwa ostatecznie tracimy wszyscy, nawet jeśli niektórzy korzystają.

## Kto zarobił na epidemii?



**PIOTR CELŃSKI**

Współpracownik „Nowej Konfederacji”

**Od doradców restrukturyzacyjnych, przez dostawców sprzętu medycznego po wypożyczalnie hulajnóg miejskich – na regulacjach wprowadzanych w związku z COVID-19 skorzystały liczne branże, często w nieoczywisty sposób**

Ekspres legislacyjny rządu w związku z kolejnymi tarczami antykryzysowymi dojechał właśnie do czwartej stacji. Wszystkie tarcze antykryzysowe wprowadziły dziesiątki, jak nie setki przepisów, które w swych założeniach miały chronić przedsiębiorców przed skutkami kryzysu spowodowanego pandemią COVID-19. Regulacje te sprawdziły się lepiej bądź gorzej, jednak na wielu z nich zyskały podmioty, które niekoniecznie były adresami tychże przepisów.

### **Jak uniknąć upadłości**

Nietypowo zaczynamy jednak od regulacji, która jeszcze nawet nie weszła w życie. Sejm w godzinach wieczornych 22 czerwca 2020 r. przyjął ustawę o dopłatach do oprocentowania kredytów bankowych udzielanych na zapewnienie płynności finansowej przedsiębiorcom dotkniętym skutkami COVID-19 oraz o zmianie niektórych innych ustaw, zwaną potocznie tarczą antykryzysową 4.0. Przewiduje ona nowy rodzaj postępowania restruktury-

zacyjnego – uproszczone postępowanie restrukturyzacyjne. W założeniach ma pozwolić ono na prowadzenie restrukturyzacji poza sądownie, poprzez zawarcie umowy z doradcą restrukturyzacyjnym – czyli osobą pełniącą np. funkcję syndyka w postępowaniu upadłościowym. W ten sposób przedsiębiorca uzyska ochronę przed egzekucją na cztery miesiące, podczas których powinien móc zawrzeć układ z wierzycielami i przeprowadzić reformę przedsiębiorstwa.

Zwolennicy tego rozwiązania pokazują, że bez udziału sądu uda się uchronić przed upadłością wiele przedsiębiorstw i uratować miejsca pracy. Krytycy natomiast wskazują, że będzie to furka dla nieuczciwych dłużników, którzy będą chcieli zrobić sobie czteromiesięczne wakacje od egzekucji. Czas pokaże. Jednak szczególnie jedna grupa może czuć się usatysfakcjonowana – doradcy restrukturyzacyjni. Jest ich w kraju ok. 1440 i poza niektórymi wyjątkami nie mogą oni liczyć na przydział lukratywnych spraw – są to przeważnie upadłości kon-



sumenckie, na których taki doradca nie zarobi fortuny. To nowe narzędzie pozwoli im jednak na znaczny wzrost liczby przyjmowanych spraw (na zasadach rynkowych, gdyż dotychczas przeważnie to sąd przydzielał sprawy takiemu doradcy) i natychmiastowy przyływ gotówki od przedsiębiorców w potrzebie.

Taki właśnie przykład regulacji dobrze pokazuje problematykę tzw. renty koronawirusowej. W ciężkich czasach kryzysu zawsze zyskuje nieliczna grupa osób wykorzystujących sytuację i dobrze na tym zarabiających. Jednak nas głównie interesować nie będą tylko spekulanci wykorzystujący trudną sytuację (o nich krótko za chwilę), a podmioty, które w nieoczywisty sposób zyskały na wprowadzeniu danej regulacji.

### **Zakupy trudniejsze, zakupy łatwiejsze**

Zacznijmy od wspomnianych wcześniej spekulantów. Nie budzi wątpliwości, że w powszechnym odczuciu to określenie budzi negatywne emocje. Wszak nawet Słownik Języka Polskiego PWN definiuje spekulacje jako „wykupywanie i odsprzedaż z nadmiernym zyskiem towarów, na które popyt przewyższa podaż”, co sugeruje, że zysk jest nieuczciwy, gdyż jest „nadmierny”. Podczas pandemii wiele osób sugerowało, że działania spekulantów objawiały się pustymi półkami, na których w „normalnych” czasach stały żele antybakteryjne albo papier toaletowy. Trudno jednak powiązać te wszystkie braki *stricte* ze spekulantami – raczej po prostu ludzie przerażeni wizją braków wykupywali zapas „na zapas”, jednak część zapasów ze sklepów pojawiała się później na popularnych serwisach aukcyjnych. I o ile sama spekulacja na rynku zjawiskiem nagannym nie jest, a wręcz pożą-

danym – spekulanci biorą na siebie część ryzyka wynikający z wahań cen produktów – to w czasie kryzysu ich działania wywołują straty społeczne. Rząd takim działaniom przeciwdziałał, nakazując serwisom internetowym banowanie użytkowników wystawiających zbyt drogie

**Szczególnie jedna grupa może czuć się usatysfakcjonowana – doradcy restrukturyzacyjni. Jest ich w kraju ok. 1440 i poza niektórymi wyjątkami nie mogą liczyć na przydział lukratywnych spraw – są to przeważnie upadłości konsumenckie, na których taki doradca nie zarobi fortuny. To nowe narzędzie pozwoli im jednak na znaczny wzrost przyjmowanych spraw (na zasadach rynkowych, gdyż dotychczas przeważnie to sąd przydzielał sprawy takiemu doradcy) i natychmiastowy przyływ gotówki od przedsiębiorców w potrzebie**

produkty w Internecie. Sama sytuacja szybko się natomiast unormowała i już w kwietniu, miesiąc później w prawie każdym sklepie można było kupić maseczki czy płyny dezynfekujące.

**Słynne już rozporządzenia Ministra Zdrowia i Rady Ministrów, w wątpliwy sposób zakazywały wykonywania różnych rodzajów działalności gospodarczej. I tak zgodnie z §18 rozporządzenia z 31 marca 2020 r. zakazane zostało używanie rowerów miejskich. Sam pomysł mógł się wydawać co najmniej dziwny – w końcu władzy chyba powinno zależeć, żeby ludzie nie przemieszczali się w środkach komunikacji miejskiej, a właśnie za pomocą rowerów**

Za nami pierwszy dość oczywisty przykład, teraz przejdźmy do drugiego, o którym w mediach chyba najgłośniej. Podczas uchwalania I tarczy antykryzysowej dodano do ustawy „covidowej” słynny już art. 10 c, który wyłączał odpowiedzialność urzędników za naruszenia obowiązków

służbowych za przekroczenie uprawnień w związku z nabywaniem towarów i usług niezbędnych do zwalczania COVID-19. To w połączeniu z art. 6 ust. 1 tejże ustawy, który wyłączył stosowanie przepisów Prawa zamówień publicznych do zamówień „covidowych” sprawiło, że natychmiast mieliśmy wysyp mniej lub bardziej dziwnych zamówień, które szerokim echem przeszły przez polską opinię publiczną. Maseczki od instruktora narciarstwa, przyłbice od producenta oscypków czy respiratory od handlarza bronią (ta ostatnia historia jest chyba najbardziej oburzająca, skoro w 2013 r. dziennikarze „Superwizjera” alarmowali, że w Polsce działa handlarz bronią podejrzany o sprzedaż broni do państw objętych embargiem i fałszowanie świadectw końcowego użytkownika. Mija 7 lat, zmieniają się rządy, a nagle ta sama osoba sprzedaje respiratory, których nawet nie dostarcza. Takich historii tak naprawdę pojawi się jeszcze więcej, gdyż zakupów „covidowych” dokonywało nie tylko Ministerstwo Zdrowia czy Agencja Rezerw Materiałowych, ale także samorządy czy spółki Skarbu Państwa. Jednak czy możemy a priori stwierdzić, że luzowanie rygorów prawa zamówień publicznych w tak ciężkim czasie było niesłuszne? Właśnie nie, gdyż każdy przyzna, że sytuacja była bezprecedensowa, że nie powinno się obciążać np. dyrektora szpitala za to, że kupił maski niezbędne dla swoich lekarzy.

### **Rower gorszy od hulajnogi**

Teraz skupmy się na nieoczywistych przykładach strat i zysków związanych z COVID-19. Słynne już rozporządzenia Ministra Zdrowia i Rady Ministrów, w wątpliwy sposób zakazywały wykonywania różnych rodzajów działalności gospodar-

czej. I tak zgodnie z §18 rozporządzenia z 31 marca 2020 r. zakazane zostało używanie rowerów miejskich. Sam pomysł mógł się wydawać co najmniej dziwny – w końcu władzy chyba powinno zależeć, żeby ludzie nie przemieszczali się w środkach komunikacji miejskiej, a właśnie za pomocą rowerów. Jednak kompletnym absurdem jest fakt, że równocześnie nie zakazano korzystania z systemów hulajnóg elektrycznych, które działają praktycznie na identycznych zasadach – w różnych miejscach miasta można znaleźć ogólnodostępne pojazdy, które pozwalają na przemieszczanie się. Teraz tylko spekulować można, jaka była prawdziwa przyczyna wprowadzania takich obostrzeń. Niektórzy złośliwie wskazują, że przecież największe aplikacje pozwalające wypożyczyć hulajnogi należą do firm amerykańskich, natomiast jedyny w Polsce system rowerów miejskich należy do niemieckiej spółki. Czy miało to jakikolwiek wpływ na decyzje podejmowane przez Ministra Zdrowia? Nie wiadomo. Tym bardziej, że trudno wskazać racjonalny powód na wprowadzenie takiego zakazu.

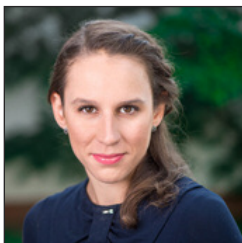
Poza takimi zagadkowymi beneficjentami rządowych regulacji istnieje dużo podmiotów, które oczywiście zyskały na zakazie prowadzenia różnych typów działalności gospodarczej. Na zakazie dotyczącym branży gastronomicznej najlepiej wyszły aplikacje oferujące dowóz jedzenia do domu, na zamkniętych galeriach hand-

lowych – sklepy internetowe. Dzięki zamkniętym granicom i zmianie planów urlopowych Polaków producenci rowerów i kamperów notują rekordowe zyski. Na drugim biegunie mamy podmioty, które mogą już się nie podnieść po pandemii. Sieci multipleksów nie otwały się do teraz z powodu braku nowych premier, a rządowi włodarze mówią o możliwym scenariuszu upadku Polskich Linii Lotniczych LOT. Te branże na rządowych (i nie tylko) obostrzeniach straciły miliardy i trudno wyobrazić sobie, w jaki sposób można by im te straty skompensować.

Na prawdziwe podsumowanie czasów pandemii powinniśmy się umówić najwcześniej w czerwcu 2021 roku. Wtedy będzie można oszacować, jak mocno ucierpiała światowa gospodarka, jakie straty w efektywności spowodowane pracą zdalną odniosły korporacje, czy też ile biznesów upadło z powodu rządowych zakazów. Co najmniej roku potrzebujemy, żeby niezależne instytucje zweryfikowały, czy wszystkie działania podmiotów publicznych związane z pandemią były celowe i proporcjonalne. Wtedy też będziemy mogli policzyć, ile i komu przypadło z „renty” koronawirusowej. Jednak pytanie brzmi, czy instytucje, które brały udział w tych działaniach pozwolą na takie badania. Bo jeśli nie, to będziemy musieli się oprzeć tylko na pracy dziennikarzy śledczych czy ewentualnych raportach Najwyższej Izby Kontroli.



## Jak wygląda lobbing w Polsce?



**ANNA SZCZERBATA**

Członek zespołu „Nowej Konfederacji”

**Politycy nie muszą się spowiadać ze swoich spotkań z grupami interesu, a wielu „nielobbystów” cieszy się, że mogą z politykami pogadać całkiem *off the record* i zaproponować to i owo, bez ryzyka, że ktoś połączy kropki**

Oficjalnie w 2019 roku działalność lobbingową:

- wobec Sejmu RP podjęło 16 podmiotów,
- wobec Senatu RP podjęły 2 podmioty,
- wobec Ministerstwa Aktywów Państwowych podjęło 6 podmiotów,
- wobec Ministerstwa Cyfryzacji podjął 1 podmiot,
- wobec Ministerstwa Edukacji Narodowej podjęło 0 podmiotów,
- wobec Ministerstwa Finansów podjęły 4 podmioty
- wobec Ministerstwa Funduszy i Polityki Regionalnej podjęło 0 podmiotów,
- wobec Ministra Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej podjęło 0 podmiotów,
- wobec Ministerstwa Infrastruktury podjęły 2 podmioty,
- wobec Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego podjęło 0 podmiotów,
- wobec Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego podjęło 0 podmiotów,
- wobec Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej podjęło 0 podmiotów,
- wobec Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi podjęło 0 podmiotów,
- wobec Ministerstwa Rozwoju podjął 1 podmiot,
- wobec Ministerstwa Sportu 0 podmiotów,
- wobec Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji podjęły 2 podmioty,
- wobec Ministra Spraw Zagranicznych podjęło 0 podmiotów,
- wobec Ministerstwa Środowiska i Ministerstwa Klimatu podjęły 4 podmioty.

Ministerstwo Zdrowia nie opublikowało informacji o roku 2019, natomiast w roku 2018 działalność lobbingową wobec MZ podjęły 2 podmioty. Ministerstwo Obrony Narodowej nie opublikowało informacji

o roku 2019, natomiast w roku 2018 było to o podmiotów. Ministerstwo Sprawiedliwości ostatnio opublikowało informację za rok 2017. Wtedy działalność lobbingową wobec MS podjęło 5 podmiotów.

Wiemy przecież, że w praktyce to nieprawda. Nieoficjalnie, działalność lobbingową prowadzą nie tylko zawodowi lobbyści, ale przede wszystkim: kancelarie prawne, firmy consultingowe, agencje PR, think-tanki, organizacje branżowe i najzwyczajniej przedstawiciele konkretnych firm. Każde większe, zwłaszcza międzynarodowe przedsiębiorstwo ma swój dział public affairs, a w nim ludzi od wpływania na regulacje. W imieniu związków, izb i stowarzyszeń branżowych z urzędnikami spotykają się po prostu specjaliści public affairs z konkretnych firm, bo to oni w ramach tych organizacji pilnują interesów pracodawcy.

Drzwi do gabinetów urzędników otwierają rozmaici doradcy, często byli posłowie, znajomi polityków. Największym wzięciem na rynku public affairs cieszą się osoby, które jeszcze niedawno pełniły jakieś funkcje publiczne, ale uznały, że lepiej zarobią na obrzeżach polityki niż w środku. Oni najlepiej wiedzą, co jest interesujące dla danego posła, ministra czy szefa departamentu. Na zlecenie wielkich firm, przed rozpoczęciem – nieoficjalnych oczywiście – działań lobbingowych powstają analizy zainteresowań i celów konkretnych polityków, listy powiązań z innymi osobami i organizacjami. To wszystko bardzo użyteczne w rozmowie w cztery oczy, której przecież nikt nie musi sprawozdawać, bo w odwiedzinach do ministra przyszedł nie-lobbyista.

Dodatkowym wehikułem nieformalnych spotkań polityków z przedstawicielami biznesu są kongresy gospodarcze. To dlatego cieszą się one dużym zainte-

resowaniem i mają wielu sponsorów. Krynica, Katowice, Kraków, Rzeszów, Sopot – to główne punkty na mapie public affairs. Te kongresy dają idealne warunki do bezpośredniej rozmowy: neutralny grunt, wszyscy spotykają się ze wszystkimi, a nadto taki przecież jest cel tych wydarzeń: wymiana wiedzy pomiędzy różnymi światami: polityki, biznesu, nauki. Gdyby spotkania były sprawozdawane, nie byłoby zresztą w tym nic złego. W końcu przepływ informacji jest potrzebny.

## **Rzecz w tym, że aktualne regulacje dotyczące lobbingu sprzyjają unikaniu ujawniania kontaktów polityków z interesariuszami biznesowymi**

Oczywiście nie zawsze politycy ulegają namowom biznesu, a jeśli ulegają, to nie zawsze przez wzgląd na własne interesy. Prawdopodobnie nawet zdarza się to stosunkowo rzadko, jeśli wziąć za punkt odniesienia wszystkie spotkania z biznesem, do jakich dochodzi. Rzecz w tym, że aktualne regulacje dotyczące lobbingu sprzyjają unikaniu ujawniania kontaktów polityków z interesariuszami biznesowymi.

### **Szkodliwa symbioza**

15 lat temu przyjęta została ustawa o działalności lobbingowej. Od 15 lat jest ona krytykowana i powszechnie uznawana za regulację o zerowej skuteczności (albo wręcz pogarszającą sprawę). Mimo wpro-

wadzenia rzeczonyj ustawy, znakomita większość osób i firm, podejmujących czynności związane z wpływaniem na kształt legislacji, nigdy swojej działalności nie zarejestrowała i pozostaje w cieniu. O tym, jak „doskonale” działa ustawa świadczyć może także to, że co roku aktywnych lobbystów magicznie ubywa. W 2015 roku było ich 27, w 2018 już tylko 18 (!). Zaraz się okaże, że nie ma nikogo, kto byłby zainteresowany tworzonym prawem. Oczywiście chodzi o lobbystów zarejestrowanych, którzy w danym roku podjęli jakiegokolwiek działanie w sposób oficjalny. Zakulisowe ingerencje w proces legislacyjny kwitną.

Dlaczego więc ubywa zawodowych lobbystów? Po ujawnieniu kilku afer, w tym np. hazardowej, utrwalił się negatywny wizerunek lobbingu i lobbystów, a to z kolei sprawiło, że decydenci zaczęli starać się, żeby ich kontakty lobbingowe (których strona biznesowa nie zamierzała i nie zamierza ograniczyć, a tym bardziej zaprzestać) znajdowały się poza świadomością opinii publicznej. Lobbyści udają, że nie są lobbystami nie tylko dlatego, że sami chcą uniknąć otwartego działania, ale też po prostu dlatego, że często jest to jedyna możliwość skutecznego dotarcia do decydentów, którzy nie chcą się ze swoich kontaktów z biznesem tłumaczyć.

Tak powstała ta szkodliwa dla państwa symbioza. Politycy nie muszą się spowiadać ze swoich spotkań z grupami interesu, a wielu „nielobbystów” cieszy się, że mogą z politykami pogadać całkiem *off the record* i zaproponować to i owo, bez ryzyka, że ktoś połączy kropki.

### **Co zmieniła dobra zmiana?**

Wygląda na to, że naprawieniem tego narzędzia realizacji konstytucyjnych regulacji

dotyczących demokracji uczestniczącej nikt nie jest zainteresowany. Nikt, a więc również obóz Zjednoczonej Prawicy, który chce uchodzić w oczach wyborców za „tych uczciwych”. Gdyby było inaczej, zaproponowana przez ministra koordynatora służb w 2017 roku ustawa o jawności życia publicznego zostałaaby przyjęta albo przynajmniej przyjęto by tę jej część, która dotyczyła lobbingu (oczywiście po jej udoskonaleniu, bo uwag krytycznych było wiele). W gruncie rzeczy już sama historia prac nad tą ustawą pokazuje, jaki opór wywołują próby sprawienia, by życie publiczne w Polsce było transparentne.

Tę obszerną regulację zapowiedział w październiku 2017 roku Mariusz Kamiński. Przepisy miały zastąpić ustawy: antykorupcyjną, o lobbingu i o dostępie do informacji publicznej. Zaproponowane przez ustawę kierunki zmian były bardzo dobre i w warstwie deklaracji niemal wszystkie punkty należałoby ocenić pozytywnie. Co do wielu praktycznych rozwiązań zapisanych w projekcie podnoszono jednak wątpliwości. Przykładowo, obowiązek publikacji majątkowych w internecie to niewątpliwie krok w dobrym kierunku, ale czemu zachowywać formę nieczytelnych oświadczeń pisanych odręcznie? W kontekście lobbingu, Klub Jagielloński w swojej opinii nt. ustawy zwrócił uwagę na to, że „brak precyzji i liczne błędy sprawią, że, podobnie jak dzisiejsze prawo w tym zakresie, nowe przepisy w praktyce będą miały charakter fasadowy”.

Przez 4 miesiące trwały intensywne i energiczne prace, które cieszyły się dużym zainteresowaniem opinii publicznej, instytucji publicznych, organizacji pozarządowych, samorządów i biznesu. Projektodawcom chyba na początku bardzo się spieszyło, bo konsultacje publiczne, choć cieszyły się ogromnym zaintereso-



waniem, trwały tylko 6 dni. Zgłoszono w tym czasie blisko 100 opinii, większość z nich była bardzo obszerna. Część uwag uwzględniono. Na tym jednak de facto kończy się historia ustawy o jawności życia publicznego. W lutym 2018 trafiła ona do Komitetu Stałego Rady Ministrów i tam spędziła kolejne dwa i pół roku. Nie zapowiada się, żeby rządzący wrócili do tego projektu.

Gdyby przyjąć i egzekwować regulacje, które poszerzyłyby definicję lobbingu i wymagałyby sprawozdawania spotkań, na których politycy są przekonywani do konkretnych rozwiązań legislacyjnych, to jak ci biedni posłowie mieliby wytłumaczyć, że festyn przed wyborami w ich okręgu wyborczym zasponsorowała firma, z którą miesiąc wcześniej rozmawiali o szkodliwości pewnego przepisu, który ostatecznie zniknął w toku prac nad ustawą? Jak wyjaśnić opinii publicznej, że koncert w ich rodzinnym mieście, który mieli okazję otworzyć, sfinansował pewien koncern, którego przedstawiciele ostatnio bardzo ich często odwiedzali? To kłopotliwe.

### Potrzeba więcej jawności

Co powinno się zmienić? Na dobry początek, z odpowiedzią przychodzi dr hab. Leszek Graniszewski w swojej opinii dla Biura Analiz Sejmowych: „(...) polskie przepisy nie wymagają obowiązkowych sprawozdań samych lobbystów. Tymczasem badacze problematyki lobbingu wskazują, że jedynie ujawnienie skali i zleceńodawców lobbingu przez obowiązkowe i regularne sprawozdania lobbystów zapewnią jawność i transparentność tego zjawiska. (...) Jako lobbysta traktowany powinien być każdy podmiot zgłaszający w procesie legislacyjnym propozycje zmiany prawa lub zaniechania takich zmian.

Pozwoliłoby to ograniczyć nietransparentny model obecnego lobbingu przez wykorzystywanie znajomości i informacji dostępnych jedynie dla wybranych.

**Gdyby przyjąć i egzekwować regulacje, które poszerzyłyby definicję lobbingu i wymagałyby sprawozdawania spotkań, na których politycy są przekonywani do konkretnych rozwiązań legislacyjnych, to jak ci biedni posłowie mieliby wytłumaczyć, że festyn przed wyborami w ich okręgu wyborczym zasponsorowała firma, z którą miesiąc wcześniej rozmawiali o szkodliwości pewnego przepisu, który ostatecznie zniknął w toku prac nad ustawą?**

W efekcie skuteczna regulacja lobbingu powinna umożliwiać decydującym korzystanie ze specjalistycznej wiedzy dostarczonej przez lobbystów, umożliwiać uspołecznienie procesu tworzenia prawa przez zapewnienie udziału w nim zaintereso-

wanych regulacjami podmiotów oraz zwiększać przejrzystość procesu tworzenia prawa, a jednocześnie umożliwić kontrolę publiczną nad wywieraniem wpływu przez grupy interesu”.

Tak więc, aby lobbying maksymalnie służył państwu, a nie mu szkodził, konieczne jest, żeby ustawa regulująca tę sferę spełniała kilka warunków. Po pierwsze, definicja lobbyngu musi oddawać stan faktyczny, a więc za lobbyistów powinno się uznawać zarówno przedstawicieli samych zainteresowanych regulacją firm, jak i reprezentujące te firmy podmioty: związki branżowe, kancelarie prawne, fir-

my consultingowe i agencje PR, jednoosobowe działalności gospodarcze, lobbyistów-freelancerów. Po drugie, wszystkie te podmioty powinny figurować w rejestrze lobbyistów, ale przede wszystkim, równolegle do adresatów działań lobbyngowych, powinny swoją aktywność sprawozdawać. Wiedza na temat podejmowanych prób wpływania na kształt prawa powinna być dostępna publicznie.

Żadna regulacja nie wyeliminuje wszystkich patologii, ale zła regulacja, taka jak obowiązująca ustawa dotycząca lobbyngu, z patologii systemu czyni system patologii.

# Biznes partyjny, czyli pogoń za rentą po środkowoeuropejsku

Z Mikłosem Szanyim  
rozmawia Stefan Sękowski



## MIKLÓS SZANYI

Doradca naukowy, były dyrektor Instytutu Ekonomii Światowej (Institute of World Economics) w Budapeszcie i profesor na Uniwersytecie Szeged. W swoich badaniach zajmuje się głównie studiami porównawczymi Europy Środkowej i Wschodniej.

**Jeśli chcesz otrzymać zamówienie publiczne, musisz zgadzać się z rządem lub władzami lokalnymi. Gdy chodzisz na te same mecze, co Viktor Orbán, masz szansę spotkać osobiście jego lub wysoko postawionych oficjeli, a w przerwie możesz porozmawiać z nimi o biznesie**

**Stefan Sękowski: Co jest szczególnego w pogoni za rentą w Europie Środkowej i Wschodniej?**

**Miklós Szanyi:** Europa Środkowa jest odmienna od tzw. „twardego jądra UE”, czyli Europy Zachodniej. Ten region mieści się między tym, co nazywam „modelem atlantyckim”, a „modelem rosyjskim/bałkańskim”. Jeśli porównuje się Europę Środkową i Zachodnią w sposób mechaniczny, i oczekuje pan w Europie Środkowej tych samych reakcji obywateli i polityków, jakie wystąpią na Zachodzie, to jest pan w błędzie. Chciałbym, by model środkowoeuropejski był bliższy zachodniemu. Jestem liberałem i myślę, że model atlantycki jest bardziej wydajny niż rosyjski czy turecki. Ale – niestety – historia pokazuje, że państwa Europy Wschodniej, zwłaszcza Polska i Węgry, kursowały między tymi dwoma modelami – atlantyckim

i rosyjsko-bałkańskim. W pierwszej dekadzie transformacji ta tendencja była wyraźna. Oczywiście oznaczało to przyjęcie *acquis communautaire* Unii Europejskiej, które zawierało także najważniejsze wartości modelu atlantyckiego, tj. kontrolę korupcji i pogoni za rentą, rozdział polityki I biznesu i wiele innych. W tamtym czasie ta polityka służyła szczególnej elicie w Polsce, na Węgrzech i w innych krajach tego regionu.

**W artykule „The emergence of patronage and changing forms of rent-seeking in East Central Europe” nazywa ją pan „kompradorskim sektorem usługowym”.**

Możemy krytykować ścieżkę obraną w latach 90-tych XX wieku, ale nie powinniśmy odrzucać jej wartości tylko dlatego, że proces nie był doskonały. Rządy w Pol-

sce i na Węgrzech odrzucają je i próbują zastąpić czymś zupełnie innym. To przypomina model rosyjsko-balkański. W ten sposób wahadło wraca.

**Kwota aktywów należących do osób powiązanych z partiami – niekoniecznie członkami partii, także ich kolesiami – mogła wzrosnąć dzięki prywatyzacji. To działa się na masową skalę, zwłaszcza w sektorze małych i średnich przedsiębiorstw, gdzie firmy były sprzedawane ich kierownictwu**

**Czy możemy powiedzieć, że przed 2010 rokiem mieliśmy inny system podopiecznych za rentą w naszych krajach?**

To odrębna kwestia. Najpierw mówiłem o dwóch typach elit w tych krajach. Pierwszy to „elita kompradorska”, drugi to elita bardziej nacjonalistyczna lub patriotyczna. Ta druga elita nie uzyskała takich samych korzyści jak ta pierwsza podczas transformacji, a teraz chciałaby się rozwijać, zarówno w Polsce, jak i na Węgrzech. Inną sprawą jest, jak ta ekspansja może dojść do skutku.

**Jakie są różnice między tymi elitami? Dlaczego tylko elita kompradorska skorzystała na transformacji?**

Wcześniej uważałem, że różnica jest ideologiczna. Na Węgrzech „elitę kompradorską” stanowił przede wszystkim Związek Wolnych Demokratów, w Polsce – środowisko Leszka Balcerowicza i wiele innych środowisk, których ideologiczne tło było zgodne z modelem atlantyckim. Były też inne partie i ludzie związani z inną ideologią. Oni nie mogli należeć do elity kompradorskiej, ponieważ po prostu do niej nie pasowali. W artykule wspominam niektórych polityków, których poglądy się zmieniły. Teraz możemy mówić, że obie elity są „pragmatyczne”. Używają argumentów ideologicznych, które są w danym momencie popularne. Są elastyczne.

**Orbán też był liberałem na początku lat 90-tych.**

Oczywiście! Bardzo ważne jest, by zauważyć, że dla Viktora Orbána ideologia nie ma znaczenia. Są też ludzie w Polsce – na przykład Jan Krzysztof Bielecki – dla których większe znaczenie od ideologii mają pieniądze.

**Być może są też inne przyczyny tego stanu rzeczy. Na przykład to, że na początku transformacji korzyści odnosiła nomenklatura.**

Na Węgrzech było tak samo. W latach 90-tych nomenklatura utrzymała swoją wcześniejszą pozycję w przedsiębiorstwach państwowych i nawet po prywatyzacji jej członkowie mogli utrzymać swoje posady. Oczywiście zależało to od tego, jak zaprojektowano transformację, ale często zostawali właścicielami zwłaszcza małych i średnich przedsiębiorstw państwowych. Rzadziej zdarzało się to w większych, choć możemy wymienić wiele dużych firm,



w których dyrektor generalny nie zmienił się od 30 lat. Przykładem może być największa firma farmaceutyczna, Gedeon Richter. Większość udziałów należy do inwestorów zagranicznych, a rozproszona struktura własnościowa daje możliwość utrzymania stanowiska. Przy okazji, akurat ten konkretny dyrektor jest znakomitym profesjonalistą.

**Z jednej strony trudno było tego uniknąć: nasz system ekonomiczny miał przejść z socjalizmu do kapitalizmu, musieliśmy prywatyzować przedsiębiorstwa. Z drugiej strony – czy nie była to doskonała okazja do pogoni za rentą?**

Oczywiście. Tam, gdzie są pieniądze, istnieje ryzyko korupcji lub pogoni za rentą. W przypadku procesu prywatyzacji okazją do takich działań było wyłanianie zwycięzców w przetargach. Na Węgrzech zwłaszcza duże przedsiębiorstwa państwowe były sprzedawane tym, którzy oferowali najwięcej i pochodzili z sektora prywatnego. Taką metodą prywatyzacyjną preferowano, ale oczywiście ustalając kryteria oceny w przetargu można było preferować konkretnych inwestorów. Z pewnością to się zdarzało, choć bardzo niewiele spraw trafiło do sądów. Istnieje bardzo mało dowodów na korupcję w procesie prywatyzacji, ale badacze uważają, że korupcja miała miejsce na potężną skalę, choć nie została wykryta. Zaryzykowałbym nawet stwierdzenie, że te skandaliczne przypadki nie zostały wykryte, ponieważ istniało porozumienie między partiami, by nie wywlekać brudnych tajemnic. Nawet opozycja coś dostała.

**Napisał pan, że na Węgrzech między 1989 a 2001 rokiem udział przedsię-**

**biorstw, nad którymi kontrolę przejęli członkowie partii i ich klienci, wzrósł z 10 do prawie 20 proc., a jeśli chodzi o kapitalizację – z 10 do 40 proc. Jak to się mogło stać?**

Były dwie drogi do tego. Kwota aktywów, należących do osób powiązanych z partiami – niekoniecznie do członków partii, także do ich „kolesiów” – mogła wzrosnąć dzięki prywatyzacji. To działa się na masową skalę, zwłaszcza w sektorze małych i średnich przedsiębiorstw, gdzie firmy były sprzedawane ich kierownictwu. Jak pan zauważył, głównym beneficjentem była nomenklatura, głównie z Węgierskiej Partii Socjalistycznej. W większości przypadków występowała bardzo jasna afiliacja. Choć nie we wszystkich – mogę wymienić także wyjątki, np. Gábor Széles (właściciel Videotonu) uzyskał w ramach prywatyzacji liczne aktywa i jest obecnie całkiem bogatym Węgrem. Nie jest socjalistą, jest powiązany z Fideszem.

Inną drogą była generalna akumulacja kapitału w sektorze prywatnym. Swego czasu dyskutowałem z moimi polskimi przyjaciółmi, jak należy interpretować pojęcie „prywatyzacji”. Zawsze uważałem, że prywatyzacja to „sprzedaż aktywów państwowych”. Moi polscy przyjaciele rozumieją to pojęcie inaczej: dla nich prywatyzacja oznaczała wzrost udziału sektora prywatnego w gospodarce, a taki wzrost może opierać się także na akumulacji prywatnego kapitału poza gospodarką państwową. Wykorzystanie własności państwowej nie jest konieczne do zwiększenia udziału sektora prywatnego. Myślę, że główną przyczyną tego sposobu myślenia był fakt, że w Polsce prywatyzacja szła wolniej niż na Węgrzech, a moi polscy przyjaciele chcieli pokazać, że udział sektora prywatnego w Polsce wzrastał. Nota

bene: być może ogólna akumulacja kapitału była na dłuższą metę bardziej efektywną drogą ku rozwojowi sektora prywatnego.

### **Dlaczego?**

Wiele polskich firm, które powstały po upadku komunizmu i które nie mają państwowej genezy, odnosi wielkie sukcesy, znacznie większe niż firmy sprywatyzowane. Stały się międzynarodowymi graczami. W początku lat 90-tych XX wieku nie miały utrudnienia w postaci, przykładowo, powiązania z „Solidarnością”, która w wielu przedsiębiorstwach państwowych skutecznie blokowała niektóre decyzje konieczne do podjęcia w celu przystosowania do nowego systemu. To była zawsze kwestia polityczna – trzeba było prosić „Solidarność” o zgodę – a jest ona także związkiem zawodowym, nie tylko ruchem politycznym. W wielu przypadkach „Solidarność” się nie zgadzała. A to blokowało proces dostosowawczy. Nowe przedsiębiorstwa nie miały tego typu barier.

**Twierdzi pan, że na Węgrzech prywatyzacja oznaczała głównie sprzedaż aktywów państwowych, a nie rozwój nowych przedsiębiorstw. To jeden z powodów, dla których Viktor Orbán wprowadził po 2010 roku politykę, która miała wzmocnić lokalną burżuazję?**

Oczywiście wszystko w jakimś stopniu ma związek z latami 90-tych. Jednak głównym celem Viktora Orbána nie jest wspieranie lokalnej burżuazji jako takiej, ale burżuazji partyjnej. On chce stworzyć gospodarcze zaplecze, które będzie wspierało Fidesz i jego osobiście. Dla niego to kwestia polityczna.

### **Może pan podać jakieś przykłady?**

Na początku naszego wywiadu wspomnieliśmy różne formy pogoni za rentą. Dziś to nie jest już prywatyzacja – to przykładowo dostęp do zamówień publicznych, rządowych programów inwestycyjnych itd. Te fundusze trafiają głównie do krewnych i znajomych. Jeśli jako prywatne przedsiębiorstwo chcesz otrzymać zamówienie publiczne, musisz zgadzać się z rządem lub władzami lokalnymi. To dziś główna forma pogoni za rentą. Gdy chodzisz na te same mecze, co Viktor Orbán, masz szansę spotkać osobiście jego lub wysoko postawionych oficjeli, a w przerwie możesz porozmawiać z nimi o biznesie. To typowa sytuacja.

**Główną formą nie jest prywatyzacja, nie jest zasiadanie w zarządach przedsiębiorstw państwowych. Dziś to „biznes partyjny”. Pieniądze pochodzą częściowo z budżetu rządowego, a częściowo z funduszy europejskich**

**Na czym polega główna różnica między dzisiejszą sytuacją a latami 90-tych czy początkiem XXI w.?**

Myślę, że zmieniły się formy pogoni za rentą. Główną formą nie jest prywatyzacja,

nie jest zasiadanie w zarządach przedsiębiorstw państwowych. Dziś to „biznes partyjny”. Pieniądze pochodzą częściowo z budżetu rządowego, a częściowo z funduszy europejskich. Cały proces jest w pełni kontrolowany przez Fidesz. To podstawowa różnica. Źródła renty są różne, podobnie jak narzędzia, dzięki którym jest ona pozyskiwana. Istotne jest to, że elity się zmieniły, ale elita kompradorska nadal istnieje.

Skoro tak duża część gospodarki państw Europy Środkowej jest pod kontrolą partii, jeśli wszystko zależy od zgody i powiązań z rządzącymi na różnych poziomach, to musi być to nieefektywne, ponieważ nie występuje konkurencja. Jeśli to zjawisko jest tak wszechobecne, gospodarka powinna upaść.

**Ale tak się nie dzieje. Polska ma – a przynajmniej miała przed wybuchem pandemii COVID-19 – wysoki wzrost gospodarczy, niskie bezrobocie...**

Dane dotyczące gospodarki są bardzo optymistyczne, zwłaszcza w Polsce, ale także na Węgrzech. Kluczem do tego przedsiębiorstwa międzynarodowe. Rząd wydaje się być antyglobalistyczny, ale bardzo mocno wspiera zagraniczne inwestycje. Bardzo silny na Węgrzech jest niemiecki przemysł samochodowy, cztery największe fabryki są niemieckie (Opel, Mercedes, Audi, VW). W tym samym czasie ich fabryki są obecne także w Polsce, w Czechach etc. Otrzymują potężne wsparcie rządowe, ulgi podatkowe itd. Sektor międzynarodowy nadal opiera się głównie na elicie kompradorskiej. Jest jednak też wspierany przez rząd, ponieważ jego wydajność jest konieczna dla utrzymania równowagi gospodarki na Węgrzech.

**Występuje symbioza między dwoma rodzajami elit?**

Nie. One działają w różnych branżach. Elita kompradorska działa w globalnym przemyśle – elektronice czy w branży samochodowej. Dostawcy w tych sektorach są także z nią powiązani. Druga elita opiera się na firmach partyjnych i zamówieniach publicznych rządu. Jest najsilniej obecna w sektorze towarów i usług konsumpcyjnych, w turystyce, w budownictwie, w usługach osobistych, transporcie i bankowości.

Ciekawe było obserwowanie, jak zmieniły się formy własnościowe sektora finansowego na Węgrzech. Należał on w ponad 90% do kapitału zagranicznego, jednak rząd zdecydował się przejąć ponad 50% obrotu tego sektora. Zastosowane środki nie były zbyt eleganckie. Państwo kupiło dwa z trzech głównych banków zagranicznych, które odpowiadały za co najmniej 50% działalności w sektorze finansowym. Jednak to był wyjątek. Zazwyczaj nowa elita działa w mniej konkurencyjnych sektorach, w których jest za to większa możliwość pozyskiwania renty. Ta specjalizacja umożliwia im dostęp do łatwych pieniędzy.

**Gospodarka jest w dobrym stanie, obie elity nie konkurują ze sobą, a ich interesy gospodarcze w większości przypadków nie kolidują z polityką. Każdy jest zadowolony. Być może nie ma znaczenia, że jest tyle okazji do pogoni za rentą?**

Gdyby konkurencja była obecna także w branżach kontrolowanych przez drugą elitę, gospodarka mogłaby być bardziej wydajna. To jedyny problem. Ten model rozwoju prowadzi państwa Europy Środ-

kowej do pułapki średniego dochodu. Gospodarka nie generuje wystarczająco dużo kapitału, który można by zainwestować w innowacje, w sektory rozwijające się dynamicznie, które potrzebują dużych funduszy. Koncentruje się na staromodnych sektorach przemysłu, takich jak branża samochodowa. Za 20 lat ten przemysł nie będzie więcej znaczył niż rolnictwo.

**Historia Polski i Węgier to w dużej mierze historia zagranicznej dominacji nad tymi krajami. Wiele zależy od jakości potęgi dominującej**

**Dlaczego?**

Ponieważ nie rozwija się już dynamicznie. Proszę spojrzeć na to, co dzieje się w czasach COVID-19. Nie podróżujemy już tyle, co kiedyś. Będzie mniej podróży lokalnych i międzynarodowych i nie będzie potrzeba tylu pojazdów, co do tej pory. Zmieni się sposób życia.

**Motywy polityki Orbána, Kaczyńskiego i innych polityków naszego region jest idea „patriotyzmu ekonomicznego”. Czy obecna sytuacja jest nieuniknionym skutkiem wprowadzania tej idei w życie?**

Oczywiście trwa otwarta dyskusja na temat patriotyzmu ekonomicznego, na temat tego, czy interes narodowy lub uczucia

patriotyczne powinny mieć znaczenie dla rozwoju gospodarczego i czy należy wykorzystywać narzędzia protekcyjnistyczne.

Współczesne myślenie o ekonomii obraca się wokół pojęcia wydajności. Wydajność powstaje dzięki konkurencji. Takie narzędzia są uzasadnione, jeśli służą konkurencyjności w dłuższej perspektywie. Jednak uważam, że obecnie gospodarki państw Europy Środkowo-Wschodniej już nie dążą do konkurencji. Przeciwnie: w wybranych branżach chciałyby ją ograniczyć. Brak konkurencji jest źródłem renty. I nic nie wskazuje na zmianę w tym zakresie.

**Jednak to, co pan nazywa „modelem atlantyckim”, nie jest wolne od pogoni za rentą.**

Moi krytycy mówią: „Spójrz na rząd francuski: także jest protekcyjnistyczny. Popatrz na rząd amerykański: jedna trzecia amerykańskiego budżetu federalnego wydawana jest bez faktycznej konkurencji na NASA i sektor wojskowy”. To prawda. Występują pewne podobieństwa, ale jeszcze raz: możemy krytykować pewne elementy modelu atlantyckiego, ale nie możemy wprost mówić, że ten model nie istnieje lub że nie różni się od tego, co widzimy w Europie Środkowej i Wschodniej. Model atlantycki opiera się na konkurencji, przynajmniej co do zasady. Polityki gospodarcze w dużej mierze – tak się o nich uczymy na uniwersytecie lub z większości artykułów naukowych – dotyczą poszerzania konkurencji. Inne modele – węgierski, rosyjski czy turecki – nie dotyczą konkurencji, ale tworzenia i dystrybucji renty.

**Jak możemy zlikwidować taki system pogoni za rentą?**



To zazwyczaj ostatnie pytanie i nie mogę udzielić dobrej odpowiedzi. Oczywiście jeśli takie głosy jak pański czy mój znikną, to przegramy. Badałem historyczne korzenie tego systemu, ponieważ chciałem sprawdzić, czy z biegiem czasu intensywność problemu zwiększa się, czy zmniejsza. Widzę, że sprawa jest bardziej skomplikowana, ponieważ istnieje jeszcze jeden element systemu, którym jest zagraniczna dominacja. Polska jest, być może, wystarczająco duża, by przynajmniej targować się z Unią Europejską o konkretne kwestie, ale Węgry nie są wystarczająco silne – i właśnie dlatego Orbán po prostu już nie poświęca uwagi instrukcjom z UE. Jednak to właśnie dlatego, że jesteśmy członkami UE, a zwłaszcza z powodu tego, co działo się przed naszym wstąpieniem do UE, cały region musiał słuchać wymagań i żądań zachodnich doradców, zwłaszcza unijnych. Historia Polski i Węgier to w dużej mierze historia zagranicznej dominacji nad tymi krajami. Wiele zależy

od jakości potęgi dominującej. Wcześniej stwierdziłem, że gospodarka węgierska w większości zależy od gospodarki niemieckiej. Zależność od Niemiec nie jest na Węgrzech traktowana negatywnie. Póki siłami dominującymi w naszym regionie są Niemcy, UE lub inna siła atlantycka, poruszamy się w kierunku modelu atlantyckiego. Z drugiej strony przez 50 lat byliśmy okupowani przez Sowietów i w tym czasie zbliżyliśmy się do modelu rosyjskiego. Teraz widać, że znów odchodzimy od modelu atlantyckiego.

Dokąd konkretnie? Nie wiem. Być może rozwinie się krytyka tego nowego wahnięcia, także wśród partii populistycznych. Ludzie także porównują oba regiony i w końcu zobaczą, że rosną nierówności, a pogoń za rentą przynosi korzyści głównie elitom i spowalnia postęp społeczny i gospodarczy. To mogłoby prowadzić do zmian w modelach pogoni za rentą i konkurencji.



### **STEFAN SĘKOWSKI**

Zastępca Dyrektora „Nowej Konfederacji”,  
kierownik sekcji Publicystyki

## Co PiS-owi nie wyszło? Spojrzenie na Polskę B



**KRZYSZTOF WOŁODŹKO**

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”

**Mimo postępów w polityce społecznej, PiS nie zaradził bolączkom polskiej prowincji. Mowa o wykluczeniu komunikacyjnym, deficycie tanich mieszkań na wynajem w mniejszych miastach, atrofii publicznej ochrony zdrowia**

Przez ostatnie lata Prawo i Sprawiedliwość zbudowało wokół swojej polityki transferów socjalnych mocną opowieść o dobrej i radykalnej zmianie społeczno-politycznej. Jak pokazała pierwsza tura prezydenckich wyborów – opowieść wciąż przekonywającą dla niemałej części Polski B, Polski małomiasteczkowej i wiejskiej. Polski klasy ludowej. Niewykluczone, że jeśli Andrzej Duda pokona Rafała Trzaskowskiego 12 lipca w drugiej turze wyborów prezydenckich, rządząca partia uzna, że nie tylko wizerunkowo wszystko jest w najlepszym porządku – właśnie w sprawach społecznych. Niestety, to nieprawda.

### **A gdzie usługi publiczne?**

Byłem, jestem i pozostanę zwolennikiem pięćsetplusowej polityki Prawa i Sprawiedliwości w jej licznych wariantach, budzących mocny ból głowy u niemal wszystkich szczerych, demokratycznych liberałów, którzy chcieliby w końcu „wyrwać Polskę z rąk socjalistów”, i lekką migrenę nawet u pewnej części z tych,

którzy mają się za konserwatystów wrażliwych społecznie. Nie jesteśmy już jednak w 2015 roku. Mamy połowę roku 2020, jesteśmy w trakcie pandemii. Znakomita część jej skutków – nie tylko społeczno-gospodarczych, ale też psychospołecznych – dopiero się objawi. W zwyczajowy dla kryzysów sposób, o wiele mocniej dotkną one mniej zamożną część społeczeństwa. Nie tylko pod kątem utraty pracy, pogorszenia jej warunków, zmniejszenia dochodów lub rezygnacji z czasu wolnego w celu utrzymania ich wysokości. To jest jak zwykle wierzchołek góry lodowej.

Istotne jest również to, o czym publicznie dyskutuje się mniej (a z pewnością bez gorących emocji) lub przede wszystkim w gronie ekspertów, albo w banieczkach miłośników reportażu z Polski B. Problemem będzie, a nawet już jest, nowa fala ograniczenia dostępu do usług publicznych lub zastępujących je usług prywatnych. Po pierwsze: związana z uszczupleniem portfeli mniej zamożnych Polek i Polaków, polskich rodzin pełnych i niepełnych, samotnych matek i ojców, opiekujących się

dziećmi, zapracowanych lub bezrobotnych córek zajmujących się zniedołężniałymi rodzicami i krewnymi. Dla mniej zamożnych wciąż liczy się wszystko – od cen pieczywa, mięsa, warzyw i owoców po cenę biletu na busa ze wsi do miasta. Ludzi jeszcze bardziej nie będzie na to stać, lub znów nie będzie stać. Po drugie, znikanie tych usług publicznych, na przykład upadek kolejnych PKS-ów i wygaszanie biznesów prywatnych oferujących choćby usługi komunikacyjne występuje tam, gdzie przestaną być opłacalne dla małych, lokalnych często firm, które kierują się logiką zysku, a nie dobra wspólnego. Które, jak wiemy, w III RP największą karierę zrobiło jako niezobowiązujący slogan – nie tylko partyjny.

Mówiąc mniej obrazowym językiem: Zjednoczona Prawica przejęła w 2015 roku władzę, dość mocno sygnalizując, że zaradzi największym bolączkom polskiej prowincji. Mowa o wykluczeniu komunikacyjnym, deficycie tanich mieszkań na wynajem w mniejszych miastach, atrofii publicznej ochrony zdrowia (wieś pod tym względem nieustannie jest upośledzona względem miasta). Szybkie wdrożenie programu Rodzina 500 Plus, podniesienie stawki godzinowej z mniej niż głodowych trzech-czterech złotych do złotych kilkunastu było rewolucją, która dziś już uchodzi za oczywistość. Rewolucją wciąż niezbyt jednak zrozumiałą dla wzbogaconej wielkomiejskiej inteligencji, która nie pojmuje, jak wiele – w sferze egzystencjalnej, nie tylko ekonomicznej – oznaczało dla kiepsko zarabiających Polek i Polaków szybkie i stabilne zwiększenie zasobności portfeli.

Wraz z dobrą koniunkturą gospodarczą, która przyszła z rządami Zjednoczonej Prawicy (wbrew kasandrycznym wizjom części ekspertów ekonomicznych), zmniejsz

szyło się bezrobocie – nagle na rynek pracy, po długich, bardzo długich latach wróciły kobiety w wieku 50+. Wrócili na rynek pracy ci, którzy nikomu już nie byli zawodowo potrzebni i właściwie żadnej sensowniejszej pracy się nie spodziewali – bo bardzo długo dwucyfrowa rezerwowa armia bezrobotnych gwarantowała biznesowi łatwy dostęp do młodszych, sprawniejszych, bardziej dyspozycyjnych, i do tych, którzy rezygnowali z niemal całego prywatnego życia, byle tylko poradzić sobie w kraju bez sprawnych usług publicznych. Dlatego zresztą do dziś większość politycznych najgorętszych emocji politycznych wielkomiejskiego elektoratu dla Polski B jest wyblakła i nieistotna. I najpewniej dalej tak pozostanie.

**Chory z punktu widzenia  
dobrostanu całego państwa,  
jego i tak trudnej  
integralności, model  
rozwoju oparty na silnej  
dysproporcji między  
centrum  
a prowincją/peryferiami  
wciąż się utrzymuje**

Kłopot w tym, że polityka prostych transferów finansowych nie zmieni negatywnych trendów dotyczących Polski B. Mowa przede wszystkim o jej wyludnianiu – dotyczy to właściwie wszystkich regionów kraju, bo Polska B i C nierzadko zaczyna się tuż za granicami metropolii. Tam, gdzie nie ma już ośrodka zdrowia,

usług dla seniorów i osób z niepełnosprawnościami, gdzie nie ma często lub w ogóle kursującego autobusu, gdzie brak tanich mieszkań komunalnych na wynajem, pozwalających szukać pracy w najbliższej okolicy, utrzymać się tam, myśleć o zakładaniu i powiększeniu rodziny.

### **Biznes nie zaspokoi potrzeb**

Prywatne państwo dobrobytu, koncept który swego czasu przedstawił Antoni Macierewicz, nie będzie działać – nie tylko dlatego, że obecne transfery finansowe nie wystarczą na stałe/stabilne korzystanie z wielu usług w cywilizowanym świecie koniecznych dla seniorów, kobiet w ciąży i młodych matek, nastolatków z takimi czy innymi ambicjami i planami na przyszłość, mężczyzn w pełni życia zawodowego, których dopadł nowotwór, osób z niepełnosprawnościami i wielu, wielu innych. Także dlatego, że biznes w Polsce nie jest w stanie tworzyć przemysłowej i sensownej infrastruktury zabezpieczającej publiczny dobrostan – świetnie to widać w każdym możliwym sektorze, od branży deweloperskiej po usługi transportowe przez zdrowie i komunikację masową.

Prywatne państwo dobrobytu to po prostu więcej pieniędzy na wzmocnienie już istniejących w Polsce podziałów między biednymi i bogatymi, mniej i bardziej zamożnymi, na więcej korków i smogu i jeszcze większe rozwarstwienie kulturowo-ekonomiczne między nieodległymi niekiedy od siebie miejscami. Ale to też niezły pomysł na polityczny klientelizm, który niestety przypominałby rzymskie obyczaje związane z darmowym zbożem dla ludu. Wejście jedynie w system transferów finansowych byłoby bezpieczne dla części mniej zamożnych – ale tylko dopóty, do-

póki będą młodzi, zdrowi i szczęśliwi. A to zdarza się w Polsce dość rzadko – sądząc po wskaźnikach dotyczących i chorób psychosomatycznych i nieuchronnego starzenia się społeczeństwa.

Owszem, dla nieco bardziej zamożnych polskie miasteczka i wioski są wciąż atrakcyjne. Własny dom, ogród, śpiew ptaków o poranku dopełniany szumem aut z pobliskiej obwodnicy czy drogi szybkiego ruchu (suburbanizowany naród wraz z autochtonami jedzie do pracy do miasta), wysokie tuje odgradzające od równie szczęśliwych co my sąsiadów – czegoż chcieć więcej: *et in Arcadia ego*. Choć i suburbanizacja, która bardzo często uzależnia rodziny na dorobku nie od jednego, ale dwóch lub trzech aut w gospodarstwie domowym, ma swoje dobrze już opisane przez młode pokolenie polskich socjologów i socjolożek cienie. Ale ucieczka do metropolii, bardzo chciana przez wielkomiejskich włodarzy i biznes, bo zapewnia im zarówno fizycznych jak umysłowych pracowników najemnych, wciąż jest faktem. Świadomie lub nie, wielkie miasta ograbiają prowincję z lokalnych elit, z młodej inteligencji, z rzutkich młodych ludzi, którzy mogliby zostać sołtysami i wójtami – to się nie zmieniło w Polsce ani trochę.

Chory z punktu widzenia dobrostanu całego państwa, jego i tak trudnej integralności, model rozwoju oparty na silnej dysproporcji między centrum a prowincją/peryferiami wciąż się utrzymuje. W 2015 roku wydawać się mogło, że Prawo i Sprawiedliwość chce to dostrzegalnie zmienić. W 2020 roku uderza w tym względzie opieszałość, ledwo rozpoczęte lub stojące pod znakiem zapytania projekty i zbyt duża dysproporcja między dobrymi pomysłami a stopniem ich realizacji. Nie da się dziś powiedzieć, że nie było czasu ani możliwości.



Gorzka jest nadzieja, że może w kolejnych latach uda się zrobić więcej – tym bardziej, że pandemiczny kryzys stawia wiele przeszkód i znaków zapytania. Choćby „PKS Plus”, „Kolej Plus” – wystarczą minuty z wujkiem Google, by zobaczyć, jak sprawy się mają. I niekoniecznie pojawiają się nam wyniki z programowo niechętnych rządzącym mediów – teksty Karola Trammera w „Nowym Obywatelu” czy Bartosza Oszczepalskiego dla Instytutu Spraw Obywatelskich nie pozwalają na zbyt ni entuzjazm. „Mieszkanie Plus” wciąż jest w powijakach, o sytuacji w służbie zdrowia regularnie pisze Maria Libura – również na łamach „Nowej Konfederacji”. I niestety w tej materii polityka rządowa nie zasługuje nawet na ocenę dostateczną.

### **PiS nie musi się starać**

Dlaczego jednak – mimo takich realiów – Prawo i Sprawiedliwość wciąż jest wiarygodne w sprawach społeczno-gospodarczych dla mnóstwa swoich zwolenników? O autorskich zabezpieczeniach socjalnych była już mowa. Ważny jest również specyficzny charakter rozwoju Polski B. Podam dwa konkretne przykłady. W mojej rodzinnej miejscowości w Wielkopolsce, która suburbanizuje się w mikroskali od paru lat, nie ma co prawda czynnej linii PKP („zawieszono” połączenia w 1995 roku), nie ma też PKS-u, ale jest światłowód. Jest też znacznie więcej latarni i chodników niż przed laty, są urządzenia do fitness na boisku, wraz z naprawdę ładnym placem zabaw dla dzieci. No i każdy ma samochód. A jeśli nie ma, to za 50 złotych nawet emeryt o kulach dojedzie taksówką do pobliskiego Śremu: do urzędu, lekarza, banku. I drugi przykład: wieś na Roztoczu. Nie ma tam co prawda ani PKP, ani PKS, ale niedaleko jest obwodnica. I wszyscy

niemal mają samochody – bo przynajmniej jeden członek z każdej rodziny jest na emigracji zarobkowej. Tak to wygląda w wielu mniejszych ośrodkach, kilka kroków do przodu, parę w tył, parę w prawo lub w lewo – wiele zależy też od samoświadomości lokalnych wspólnot i określenia priorytetów przez miejscowe elity.

**Biznes w Polsce nie jest w stanie tworzyć przemysłanej i sensownej infrastruktury zabezpieczającej publiczny dobrostan – świetnie to widać w każdym możliwym sektorze, od branży deweloperskiej po usługi transportowe przez zdrowie i komunikację masową**

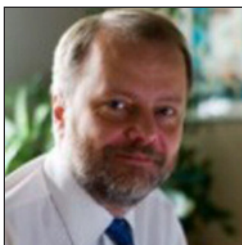
Trzecia wreszcie rzecz: polska scena polityczna jest tak skonstruowana, że PiS właściwie nie musi się starać. Owszem, Rafał Trzaskowski właśnie ściga się z Andrzejem Dudą na socjalne obietnice. Owszem, Adrian Zandberg raz po raz z sejmowej mównicy wygłasza gniewną tyradę pod adresem rządu, z której wynika, że zjednoczona (jeszcze) lewica zrobiłaby wszystko lepiej i sprawniej niż Zjednoczona (wciąż) Prawica. Tylko że to wszystko nieprawda: prawdziwe emocje i interesy polityczne zarówno liberałów, jak i lewicy, oraz ich elektoratów, są zupełnie gdzie indziej. Liberałowie mówią przede wszyst-

kim o sądownictwie i „zagrożonej demokracji”, lewicę najbardziej emocjonuje i integruje tematyka dotycząca rozszerzenia politycznych praw mniejszości i prawa kobiet czytane na lewicową modłę. Martwi ich jeszcze wszystkich faszyzm – chyba, że akurat można zawalczyć o głosy „faszystów”. Może to płytka socjologia, ale czy widział ktoś kiedyś na Facebooku, by środowiska lewicowo-liberalne odpaliły akcję z masowym wrzucaniem na profilowe nakładki z logiem PKS? Na przykład po upadku PKS Częstochowa? Albo nakładek z pustym peronem – po zamknięciu kolejowej stacji w jakiejś wioszczynie? Owszem, było kilka większych protestów socjalnych w ostatnich latach – największy, w 2018 roku, dotyczył opiekunek osób z niepełnosprawnościami, ale tylko naiwni mogliby

wierzyć, że liberalne media chwyciły temat bezinteresownie, kierowane niezwykłym wybuchem empatii. Mogły przecież „grzać temat” kilka lat wcześniej, za rządów koalicji PO-PSL. Wtedy Iwona Hartwich również protestowała pod Sejmem.

Nie zwalnia to partii Jarosława Kaczyńskiego z odpowiedzialności za los choćby tych kilku dużych projektów infrastrukturalnych, które zaproponowały rządy Beaty Szydło i Mateusza Morawieckiego. Jeśli to się nie uda, to będzie naprawdę poważny znak, że nie potrafimy urządzić sobie lepszego państwa: lepszego właśnie dla zwykłych obywateli, którym jedni wszystko obiecują, a drudzy – za wszystko ich dziś winią. I że zawsze wytłumaczymy to sobie lekko faktem, że PRL już przecież był.

## Polska na rozstajach, czyli pułapka Naszyzmu



### PRZEMYSŁAW GĘBALA

Były wydawca „Stańczyka”, przedsiębiorca

**Coraz łatwiej ulegamy nowemu rodzajowi manipulacji – naszyzmowi. Nadmiar informacji prowadzi nas do przyjmowania za prawdziwe tych, które odpowiadają naszemu rodzajowi wrażliwości – liberalnej, libertariańskiej czy konserwatywnej – i odrzucenia tych, które nam nie pasują. Dlaczego tak się dzieje?**

*Krym nasz!*  
(zasłyszane w Rosji)

Piszę ten tekst w przededniu wyborów prezydenckich w Polsce. Temperatura emocji politycznych jest wysoka, oczekiwania i obawy są ogromne, mobilizacja zdaje się przekraczać wieloletnią średnią. W jakim kierunku prowadzą nas nasze własne emocje, którymi próbują zarządzać, a nawet manipulować politycy i polityczni komentatorzy? Co może wyłonić się z widocznej już coraz wyraźniej dynamiki kolejnych politycznych zmagania?

Chciałbym, odwołując się do pojęć i idei zaczerpniętych z różnych teorii i nauk, opisać potencjalne konsekwencje naszych preferencji politycznych dokonywanych pod wpływem emocji wzmocnianych przez cyfrową rewolucję, które mogą być konsekwencją zarówno bieżących, jak i każdych następnych wyborów.

### **Instytucje, głupcze!**

Wybory Prezydenta RP są z natury rzeczy bardzo personalne. Uwaga wyborców koncentruje się na wadach i zaletach kandydatów, a w tle – na emocjach związanych z ich politycznym rodowodem. W walce o prezydenturę nie jest jednak dzisiaj ważny jej wymiar personalny czy inklinacje polityczne. Walka ta jest dzisiaj częścią znacznie poważniejszych zmagania toczonych od kilku lat między obozami liberalnym a konserwatywnym o panowanie nad instytucjami i szerzej nad ramami instytucjonalnymi państwa polskiego. Niezależnie od intencji walczących stron – czy tych publicznie deklarowanych, czy tych planowanych w zamkniętych gremiach politycznych – warto uświadomić sobie, jakie ta walka ma znaczenie dla funkcjonowania ram instytucjonalnych państwa polskiego, a w konsekwencji dla jego przyszłej możliwej ewolucji.

Daron Acemoğlu i James Robinson w książce *Dlaczego narody przegrywają* obrazują państwo jako bardzo złożony system, który działa poprzez instytucje i generowaną przez nie sieć społecznych sprzężeń zwrotnych.

Stanem na świecie dominującym – i współcześnie i historycznie – są wyzyskujące instytucje polityczne i generowane przez nie ujemne sprzężenia zwrotne, zamykające możliwości rozwoju w błędnym kole. W takiej sytuacji władza skoncentrowana jest w rękach nielicznej elity i nakładane są na nią niewielkie ograniczenia. Ta elita tak kształtuje instytucje gospodarcze, aby eksploatować zasoby reszty społeczeństwa na swoje potrzeby i pomysły.

Kiedy państwa osiągają pewien, niezbędny dla ochrony prawa i porządku, centralizm rozumiany jako monopol na uprawnione użycie przemocy oraz pluralizm instytucji politycznych, mogą osiągnąć wówczas **stan włączający**. Jest on delikatną równowagą, którą udaje się osiągnąć w rozwoju instytucjonalnym i w związanej z nim sieci społecznych sprzężeń zwrotnych. Instytucje włączające raczej będą prowadziły do zastępowania wyzyskujących instytucji gospodarczych, które odbierają zasoby, wznoszą bariery wejścia, czy ograniczają funkcjonowanie rynków – włączającymi instytucjami gospodarczymi, prowadząc do dodatnich sprzężeń zwrotnych przynoszących rozwój.

Oddajmy w tym miejscu na chwilę głos autorom: *„Instytucje gospodarcze i polityczne, które ostatecznie wybiera samo społeczeństwo, mogą być włączające i wspierać wzrost gospodarczy, ale mogą być też wyzyskujące, a wtedy stają się przeszkodą dla wzrostu. Państwa ponoszą porażki, gdy instytucje gospodarcze mają charakter wyzyskujący i są wspie-*

*rane przez wyzyskujące instytucje polityczne, które przeszkadzają wzrostowi gospodarczemu czy wręcz go blokują. Z tego wynika, że dla poszukiwanego przez nas zrozumienia przyczyn sukcesów państw i ich porażek kluczowe znaczenie ma wybór instytucji, czyli polityka instytucji. Musimy zrozumieć, dlaczego polityka niektórych społeczeństw prowadzi do instytucji włączających, które sprzyjają wzrostowi, podczas gdy polityka zdecydowanej większości społeczeństw w dziejach prowadziła i nadal prowadzi do instytucji wyzyskujących, które hamują wzrost”.*

**Tracimy przez to zdolność akceptowania, radzenia sobie z odmiennymi wrażliwościami, z odmiennymi interpretacjami co jest dobre, właściwe, korzystne dla wspólnoty, a co jest zagrożeniem, błędnym i prowadzącym do pogorszenia sytuacji sprzężeniem zwrotnym. Wskutek tego, pisze Haidt, stajemy się coraz bardziej manichejscy**

Dlaczego jednak już osiągnięta równowaga między centralizmem a pluralizmem, pozwalająca na zbudowanie insty-



tucji włączających, przez które przechodzą kolejne fale dodatnich, rozwojowych sprzężeń zwrotnych, jest taka delikatna? Tak o tym piszą Acemoğlu i Robinson: „Zasadniczą sprawą jest to, że nigdy nie będzie zgody w sprawie instytucji gospodarczych. Różne instytucje przynoszą różne konsekwencje dla dobrobytu państwa, dla dystrybucji tego dobrobytu i władzy. (...) Wzrostowi gospodarczemu i przemianom technicznym towarzyszy – by użyć określenia wielkiego ekonomisty Josepha Schumpetera – twórcza destrukcja. To, co stare, zastępuje się nowym. Nowe sektory wytwórczości podbierają zasoby starym. (...) Proces wzrostu gospodarczego oraz włączające instytucje stanowiące jego podstawę tworzą przegranych i zwycięzców, zarówno na arenie politycznej, jak i na rynku gospodarczym. Strach przed twórczą destrukcją jest częstym źródłem sprzeciwu wobec włączających instytucji gospodarczych i politycznych.”

W ten sposób konieczność twórczej destrukcji z jednej strony, a z drugiej chęć zachowania status quo wsparta przez najsilniejsze imperatywy behawioralne człowieka – obawę przed stratą i poczucie sprawiedliwości – cały czas wystawia rządzących i aspirujących do rządzenia krajem na próbę, w ramach której wciąż na nowo trzeba wymyślać ramy instytucjonalne państwa i sposoby zachowania pokoju społecznego.

Państwo jest systemem złożonym. Poprzez swoje ramy instytucjonalne i systemy sprzężeń zwrotnych łączących na wiele sposobów jego obywatele generuje zasoby, których potrzebuje na swoje utrzymanie. Jak każdy system złożony ma swoją pamięć wewnętrzną i „zależność od ścieżki”, czyli przebyta już droga nie pozostaje bez wpływu na przyszłe drogi rozwoju (choć ich

w pełni nie determinuje). Ludzie, tworzący system złożony, realizują swój wpływ na funkcjonowanie państwa, będąc ze sobą w łączności, wpływając na siebie i wzajemnie się do siebie adaptując. Robią to tworząc sieci formalnych i nieformalnych powiązań, o różnym kształcie, funkcjonalności i możliwościach wpływu.

### Uwięzieni w sieciach

W świat tych sieci wprowadza nas praca Nialla Fergusona „Rynek i ratusz. O ukrytej sieci powiązań, która rządzi światem”. Podając liczne przykłady rozwoju i zdezerowania się sieci wzajemnych powiązań i relacji pomiędzy pojedynczymi osobami, luźnymi związkami, organizacjami czy instytucjami budującymi ramy instytucjonalne państw i narodów autor zwraca uwagę na pewną wyjątkowość toczących się dzisiaj gwałtownych procesów społecznych.

Po to, aby je zrozumieć, Ferguson postuluje cofnąć się do XVI stulecia i porównać skutki globalnego wpływu Internetu – cyfrowej rewolucji – do rozprzestrzenienia się druku. Pisze: „Komputer osobisty i smartfon dały sieciom władzę porównywalną z tą, jaką wcześniej, w czasach Lutra, zapewniły im broszura i książka”. I porównuje ze sobą wykresy zmian cen oraz liczbę komputerów (dziś) i książek (po rewolucji Gutenberga) – co do zasady prawie identyczne.

Kolejna, podobna w swojej istocie, rewolucja w ilości, dostępności i szybkości rozprzestrzeniania się informacji prowadzi – twierdzi Ferguson – bezpośrednio do **nasilenia usieciowienia społecznego**. Ale jednocześnie wskazuje na znaczące różnice. Pierwszą jest szybkość, z jaką rozpowszechniają się zmiany. Rewolucja Gutenberga była o cały rząd wiel-

kości wolniejsza. Drugą są konsekwencje ekonomiczne. Gutenberg nie dorobił się na rewolucji swojego imienia. Nie można tego powiedzieć o niesamowitej koncentracji przetwarzania i przechowywania danych cyfrowych, z której czerpią korzyści nie tylko udziałowcy GAFA (Google, Apple, Facebook, Amazon) lub ich chińskie odpowiedniki. W tradycyjnych społeczeństwach, opartych na dziedzicznych sieciach, jak pisze Ferguson, siły nowego porządku prowadzą do zwiększenia mobilności społecznej i zmniejszenia nierówności. Takie właśnie były konsekwencje rewolucji Gutenberga. Kiedy jednak sieci i rynki działają w tym samym kierunku, nierówności tylko się zwiększają. Trzecią jest to, że w przeciwieństwie do wynalazku prasy drukarskiej konsekwencje dzisiejszej zmiany usieciowienia społecznego nie dotknęły religii, a od razu przeniosły się najpierw w sferę handlu i zaraz potem w sferę bezpośredniej polityki, zmieniając sposób powstawania sieci i interakcji między nimi.

**Bezpiecznie czujemy się  
wśród myślących podobnie,  
bojąc się myślących inaczej  
i odwracając się od nich**

Jak zatem zmieniają się instytucje, systemy sprzężeń zwrotnych napędzające państwa, hierarchiczne z natury sieci władzy naciskane przez bezskalowe sieci tych, którzy wymieniając między sobą informacje tworzą powiązania i potrafią wywoływać zbiorowe działania jako tłum i antytłum? Ferguson ostrzega, że pokładanie nadziei w nowych możliwościach

działania w sieci powiązań między ludźmi, pomysły kognisfery, czy libertariańska wizja wolnych i równych obywateli sieci – to prosta droga do anarchii. A w najlepszym przypadku droga do władzy iluminatów, albo co jeszcze prawdopodobniejsze – jakobinów.

Aby dostrzec dynamikę nadawaną przez tworzące się w oparciu o nowe możliwości techniczne bezskalowe sieci wpływów, oraz postawić hipotezy, jak wpływa to już dziś na działania hierarchicznych sieci władzy odwołam się do psychologii behawioralnej.

**Cyfrowa rewolucja a wrodzone predyspozycje**

Rewolucje, których istota zawsze polega na relatywnie szybkich zmianach w szeroko pojętym porządku rzeczy, wywołują w ludziach emocje. W jednych być może nadzieję na zmiany, na lepszą przyszłość, w drugich obawy, strach przed zmianą, szczególnie w obliczu „twórczej destrukcji”. Psycholog behawioralny, Jonathan Haidt, jako wyjaśnienie tego, w jaki sposób w odpowiedzi na płynące z otoczenia bodźce grupują się ludzie, zaproponował pojęcie wrodzonych, a później w trakcie życia rozwijanych fundamentów, „smaków moralnych”. W książce „Prawy umysł. Dlaczego dobrych ludzi dzieli religia i polityka”, nazwał ich sześć: Troska, Wolność, Sprawiedliwość, Lojalność, Autorytet, Świętość.

Wskazał przy tym, że każdy z nas intuicyjnie przypisuje tym fundamentom trochę inną wagę, co pozwoliło mu w ramach diagnozy tego, na czym polegają polityczne podziały, określić „matryce moralne”, swoiste wzorce wrażliwości dla trzech postaw politycznych nazwanych za tradycją amerykańską Liberałami, Li-

bertarianami i Konserwatystami. Wrażliwość Liberalów to przede wszystkim Troska, potem Wolność, Sprawiedliwość i pozostałe. Dla Libertarian – Wolność, potem Sprawiedliwość i na końcu pozostałe. Dla Konserwatystów wszystkie w mniej więcej równym zakresie.

Ma to swoje konsekwencje – opisywane przez Haidta – nie tylko w wagach, ważności i hierarchiach planowanych działań, ale przede wszystkim w indukowanych, poprzez różne postrzeganie świata, emocjach. Możliwości cyfrowej rewolucji, podnosząc co najmniej o rząd wielkości ilość, szybkość i dostępność przeróżnych informacji, przekraczają nasze dzisiejsze zdolności ich analizy, wartościowania i odróżniania prawdy, zgodności z rzeczywistością, od fałszu i pozornych zależności. Tracimy przez to zdolność akceptowania, radzenia sobie z odmiennymi wrażliwościami, z odmiennymi interpretacjami co jest dobre, właściwe, korzystne dla wspólnoty, a co jest zagrożeniem, błędnym i prowadzącym do pogorszenia sytuacji sprzężeniem zwrotnym. Wskutek tego, pisze Haidt, stajemy się coraz bardziej manichejscy. Emocje, których nie nadążamy i nie potrafimy zrationalizować, prowadzą do postrzegania grupujących się wokół innych niż nasze własne smaków moralnych jako sił ciemności, w przeciwieństwie do „naszych”, które traktujemy jako siły światłości.

Cyfrowa rewolucja wzmacnia tym samym naturalne ludzkie skłonności grupowania się, wykorzystujące wrażliwości wrodzone każdemu z nas i rozwijane przez sieci wzajemnych połączeń. Przytłoczeni możliwościami nawiązywania relacji, budowania i uczestniczenia w sieciach wymiany informacji, na podstawie których dokonujemy adaptacji i uczestniczymy w tworzeniu tłumu i antytłumu w niezli-

czonej ilości spraw, coraz częściej koncentrujemy się i czujemy się bezpiecznie wśród ludzi myślących tak jak my, o podobnej wrażliwości, odwracając się od i bojąc się myślących inaczej. A przecież, jak sugeruje Haidt, różne wrażliwości są ze sobą połączone jak dwie strony tej samej monety, splatają się niczym yin i yang w znanym z filozofii chińskiej symbolu. W końcu wszyscy jesteśmy potrzebni sobie nawzajem.

### **Mądrość i ślepotą tłumu**

O tym, jak bardzo rzeczywiście jesteśmy sobie potrzebni, można przeczytać w książce Jamesa Surowieckiego „Mądrość tłumu. Większość ma rację w ekonomii, biznesie i polityce”. Zwraca on uwagę na unikatową ludzką umiejętność obserwacji i rozumienia naszego otoczenia. Umiejętność ta pozwala nie tylko indywidualnie proponować rozwiązanie problemów, oceniać szanse powodzenia podejmowanych działań, czy dokonywać celnych obserwacji. W przeciwieństwie do zdolności fizycznych, jak na przykład w biegu na 100 metrów, gdzie oczywistym jest, że średnia prędkość wyliczona dla grupy osób będzie mniejsza niż najszybszych jej przedstawicieli, uśrednienie obserwacji, ocen, oszacowań modeli proponowanych działań daje nierzadko wynik równie dobry, jak najlepszego członka grupy. A w sporej części przypadków lepszy. Surowiecki pisze w konkluzji uśredniania postrzegania rzeczywistości przez ludzi: „Wygląda na to, że zostaliśmy tak zaprogramowani, abyśmy byli zbiorowo mądrzy”.

Na stronach swojej książki Surowiecki podaje wiele interesujących przykładów, kiedy korzystając z „mądrości tłumu” osiągnano niejednokrotnie rezultaty niemożliwe do osiągnięcia przez nawet wy-

sokiej klasy specjalistów. Ale pada również wiele przykładów zbiorowego zaślepienia. Spektakularnym tego przykładem była katastrofa promu kosmicznego Columbia, kiedy zespół kierujący misją, wraz z zespołem inżynierów z NASA, Boeinga i Lockheed Martina oraz załogą orbitującego promu nie wykorzystały potencjału grupy i źle oszacowały prawdopodobieństwo uszkodzenia poszycia wahadłowca przez oderwany podczas startu element zewnętrznego zbiornika paliwa i jego konsekwencje dla powrotu do atmosfery, w efekcie czego statek spłonął podczas powrotu na ziemię.

**Mając zaufanie do „naszych”, partie coraz chętniej obsadzają nimi instytucje, spółki państwowe i samorządowe, teatry czy muzea, a nawet firmy je sprzątające**

Umysł każdego z nas nieustannie modeluje otaczający nas świat i ciągle porównuje opracowane modele z poprzednimi. Nieustannie szacuje też prawdopodobieństwa osiągnięcia celów, zagrożeń, zmian stawiając na jedne strategie działania, a powstrzymując się od realizacji innych. Jesteśmy węzłami sieci kauzalnej świata, a biorąc pod uwagę na ile sposobów i w jakim celu możemy budować sieci wpływania na siebie i wzajemnej adaptacji, o których pisał Ferguson, potrafimy być inspirująco niezależni, jak i zawstydzająco zależni od siebie nawzajem. Po to, aby

w pełni wykorzystać „mądrość tłumu”, ludzie muszą mieć poczucie, że ich postrzeganie ma znaczenie, że wymiana informacji jest deliberacją, a nie polemiką. Wtedy spada prawdopodobieństwo zdominowania grupy przez najsilniejsze emocjonalnie jednostki, czy najsilniej wpływające na emocje memy, które mogą zamknąć drogę do znajdowania lepszych rozwiązań. Grupa, której mądrość chcemy wykorzystać, musi być też odpowiednio zróżnicowana, aby uniknąć zaraźliwego kopiowania pierwszych ocen i oszacowań.

Zróżnicowana grupa, sieć umysłów jest warunkiem koniecznym, ale nie wystarczającym. Surowiecki, kiedy pisze o wykorzystaniu potencjału sieci, zwraca uwagę na mające kapitalne znaczenie środki, przy pomocy których, szczególnie w mocno zdecentralizowanych grupach, agreguje się oceny, opinie. Agregacja ocen bowiem, która jest formą centralizacji ludzkich wysiłków (przypomnę w tym miejscu równowagę między centralizmem a pluralizmem – postulowaną przez Robinsona i Acemoğlu – jako warunek niezbędny do zbudowania i utrzymania instytucji włączających), pełni ważną rolę w decentralizacji, czyli cesji potrzebnej analizy problemu na sieć umysłów mającą wykorzystać „mądrość tłumu” dla znalezienia rozwiązania, oszacowania prawdopodobieństwa sukcesu lub porażki. Wszystko po to, aby decentralizacja, ułatwiająca wspólne znajdowanie rozwiązań, nie zamieniła się w dezorganizację.

### **Naszym, czyli początek błędnego koła**

Czas, żeby połączyć ze sobą opisane wcześniej wątki. Łączymy się ze sobą w sieci. Od hierarchicznych sieci władzy, przez wielką ilość różnych form do bezskalowych sieci połączeń w ramach mediów spo-



łącnościowych. Poprzez te sieci wymiany informacji realizujemy pętle sprzężeń zwrotnych kształtując, w oparciu o indywidualne, wrodzone predyspozycje, indywidualne „ja” i własną strategię behawioralną formującą sieć osobistych relacji, socjalizującą nas i budującą pozycję w grupie. Poprzez te sieci realizujemy również pętle sprzężeń zwrotnych, decydujących o szansach wejścia na drogę rozwoju, przy włączających instytucjach politycznych i gospodarczych, lub pętle prowadzące do błędnego koła stagnacji czy regresu przy dominacji politycznych instytucji wyzyskujących.

Technika wpływa mocno i bezpośrednio, na możliwe do zrealizowania polityczne scenariusze. Wystarczy sięgnąć do pierwszej połowy XX wieku i przypomnieć sobie, jak szybko rotacyjne maszyny drukarskie, radio i kroniki filmowe ułatwiały w sprzyjających okolicznościach mobilizację powstałych w wyniku rewolucji rolniczo-przemysłowej mas w kierunku akceptacji zmian ram instytucjonalnych społeczeństw w Europie na te wyzyskujące izmy – narodowy socjalizm, faszyzm czy komunizm.

Dzisiaj, jeżeli posłużyć się sformułowaniami Fergusona, hierarchiczne sieci władzy poddawane są presji cyfrowej rewolucji. Nie ma już mas, ludzie łączą się w rzeczywistości realnej i przede wszystkim wirtualnej na niezliczoną ilość sposobów. Trudno o tak bezpośrednią manipulację, jak w XX wieku. A jednak w obliczu nadmiaru informacji, coraz większej zmienności, coraz krótszych trendów, które dają coraz krótsze i mniej pewne oparcie dla naszych stale modelujących rzeczywistość i szacujących prawdopodobieństwo sukcesu lub porażki umysłów, coraz łatwiej nam ulec nowemu rodzajowi manipulacji – naszymu.

Nadmiar informacji prowadzi nas do przyjmowania za prawdziwe, zgodne z rzeczywistością tych, które odpowiadają naszej intuicji, naszemu rodzajowi wrażliwości – tej bardziej liberalnej, libertariańskiej czy konserwatywnej – i odrzucenia tych, które nam nie pasują. Bezpiecznie czujemy się wśród myślących podobnie, bojąc się myślących inaczej i odwracając się od nich. Ta swoista, postępująca epidemia wrażliwości, czyni nas podatnymi nie na manipulację elit, ale na automanipulację. Wymieniając się informacjami, których wartość i prawdziwość coraz trudniej nam ustalić, ufamy tym, którzy mają podobną matrycę moralną i podobną wrażliwość. To właśnie manicheizm, o którym, jak wspominałem, pisał Haidt.

W ślad za nowymi sposobami wzajemnego postrzegania się i możliwościami hurtowego zbierania przez biznes i polityków informacji o trendach automanipulacyjnych, o kolejnych odsłonach epidemii wrażliwości napędzanych wzbudzającymi emocje wydarzeniami, poprzez badania socjologiczne, prowadzone w każdej sprawie sondaże, testy na mediach społecznościowych nośności potencjalnych wirali, dokonuje się podział na naszych i obcych. Zaczynamy postrzegać innych coraz bardziej asymetrycznie – dla naszych mamy zaufanie, tolerancję, przyzwolenie na ich najbardziej kontrowersyjne działania. Dla innych – nieufność, podejrzliwość, wrogość.

Nasi są bardziej zrozumiali, lepsi. Mając zaufanie do „naszych”, partie coraz chętniej obsadzają nimi instytucje, spółki państwowe i samorządowe, teatry czy muzea, a nawet firmy je sprzątające. Instytucje, zarówno w sensie organizacyjnym, jak i prawnym zmienia się pod kątem tego, jak obsadzić je „naszymi”.

Coraz mniej miejsca, na coraz podrzędniejszych stanowiskach, zostaje dla tych, którzy nie myślą tak jak my, nie mają „naszej” wrażliwości.

Oczywiście zawsze był jakiś podział na swoich i obcych. Więzy krwi, plemię, religia, rasa, język, ideologia łączą ludzi ułatwiając, a czasami utrudniając wspólne działanie. Cyfrowa rewolucja zwiększająca poziom usieciowienia społecznego nadaje jednak działaniom nową dynamikę. Podział nie przebiega między zwolennikami, a przeciwnikami reprezentującymi różne opcje polityczne, sposoby działania, idee. Podział dokonuje się w oparciu o, szerzącą się poprzez sieć, epidemię wrażliwości prowadząc do manichejskiego rozróżnienia na siły światłości i siły ciemności.

Raz rozpoczęta spirala naszyzmu, personalna czystka, wendetta, zmienianie ram instytucjonalnych państwa pod szykowane rozwiązania personalne, prowadzące nawet do naciągania czy wręcz łamanie konstytucji, ma tendencję do samopowielania się. W imię źle pojętej sprawiedliwości możemy rozmontowywać reprezentatywne grupy ludzi o różnych wrażliwościach, nadających codzienny bieg potrzebnym w życiu publicznym instytucjom. Przekonanie, że mamy rację, że jesteśmy – w grupie naszych – mądrzejsi niż dobrze dobrany, reprezentatywny zespół ludzi o różnych wrażliwościach, może zamknąć błędne koło, dopełniając zbiór instytucji wyzyskujących. A to pozwoli elitom stanowiącym władzę – jakie by one nie były, czy bardziej liberalne, czy konserwatywne – przechwytywać wartość dodaną wypracowywaną przez nas wszystkich, blokować działanie twórczej destrukcji i skazać nas na wieczne kibicowanie walce o władzę, toczonej przez lokalnych kacyków, za przechwycone wcześniej środki. Już raz w historii wpad-

liśmy – jak pokazują to Acemoğlu i Robinson na przykładzie całej Europy Środkowo-Wschodniej od XVI wieku – w dryf instytucjonalny i w konsekwencji w cywilizacyjną i gospodarczą zapaść, z której po dziś dzień nie potrafimy się w sposób trwały wydobyć.

Dziś, w sposób trudny do dostrzeżenia, w wyniku najbliższych, albo następnych dokonywanych w wyniku manichejskich emocji, wyborów, możemy osiągnąć wynikającą z teorii złożoności masę krytyczną zmian i ześlizgnąć się w zamykające nas na rozwój błędne koło naszyzmu.

**Warto otwierać się na ludzi o różnych wrażliwościach w Kancelarii Prezydenta, w radach, zespołach konsultacyjnych, w nieistniejącym niestety, zróżnicowanym zespole doradczym do spraw pandemii**

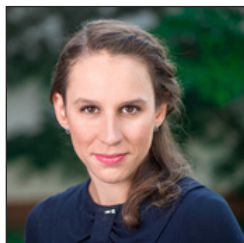
Ale być może młode pokolenie polityków, którego reprezentanci toczą teraz bój o prezydenturę dostrzeże zamykającą się pułapkę. Warto otwierać się na ludzi o różnych wrażliwościach w Kancelarii Prezydenta, w radach, zespołach konsultacyjnych, w nieistniejącym niestety, zróżnicowanym zespole doradczym do spraw pandemii itp., licząc na zbiorową mądrość pomimo tego, że niektóre osoby, zarażone wirusem naszyzmu, mogą się w takich sytuacjach nie sprawdzić. Warto wypra-

cowane stanowiska, przyjęte założenia i podyktowane nimi działania udostępniać w ramach sięgającej po zasoby „mądrości tłumu” społecznej deliberacji.

Jeżeli tak się nie stanie, to będą pojawiać się kolejne próby tworzenia pozapartyjnych ruchów i wyłaniać ich przywódcy. Nie tylko w Polsce, ale i w USA, Wielkiej Brytanii, Hiszpanii, Włoszech – problemy z konsekwencjami epidemii wrażliwości nakręcanej zdobycami cyf-

rowej rewolucji dotyczą w mniejszym lub większym zakresie wszystkich społeczeństw świata. Możliwości usieciowienia społecznego, które oferuje nam cyfrowa rewolucja nie determinują rozwoju przyszłych wydarzeń, kiedy rządzące dziś pokolenie 70-latków przestanie trząść światem polityki. Ale zagrożenie jest poważne i warto je brać pod uwagę przy dokonywaniu wyborów politycznych.

## Mimo wszystko... czyli o motywacjach wyborczych Polaków



**ANNA SZCZERBATA**

Członek zespołu „Nowej Konfederacji”

**Dlaczego wyborca Krzysztofa Bosaka w drugiej turze oddał głos na Rafała Trzaskowskiego? Co sprawiło, że wyborcy Szymona Hołowni zagłosowali w dogrywce na Andrzeja Dudę? Jakie były motywacje tych, którzy w drugiej turze nie zagłosowali lub oddali nieważne głosy? Oddajemy głos „nie-szablonowym wyborcom”**

Na początek oddajmy głos Szymonowi Hołowni, który odniósł się do zarzutów pod adresem swoim i swoich wyborców, jako współodpowiedzialnych za porażkę Rafała Trzaskowskiego i rzucił nieco światła na możliwe motywacje swoich wyborców: *„Dzisiaj widzę histerię hunwejbínów Trzaskowskiego, że 240 tys. moich wyborców nie poszło. (...) Ich (działaczy Platformy Obywatelskiej – przyp. red.) pycha i ich buta nie ma granic. Później się dziwią, że ludzie nie chcą głosować na Platformę, albo że ludzie w Polsce głosują na Dudę, chociaż z tego powodu, że nie są w stanie wytrzymać tego, co proponują niektórzy wyznawcy Platformy”*.

„To był bardzo trudny wybór”, „głosowałem, ale się nie cieszyłem”, „wybór mniejszego zła”, „w drugiej turze nie miałem kandydata”, „wybór zła mnie nie interesuje”, „w drugiej turze żaden z kandydatów nie był osobą, na którą normalnie bym zagłosowała...”, „obaj kandydaci reprezentują według mnie coś negatywne-

go” – od takich i podobnych słów zaczynała się większość wypowiedzi osób, które w drugiej turze głosowały inaczej niż można tego było oczekiwać. Jak uzasadniają swój wybór?

### Wyborcy Hołowni za Dudą

33-letni prawnik z Warszawy, który w pierwszej turze oddał głos na Szymona Hołownię, na pytanie, dlaczego w drugiej turze wybrał urzędującego prezydenta, odpowiedział: *„Mogę powiedzieć, że głosowałem na Andrzeja Dudę, ale się nie cieszyłem. Wybrałem trzy lata względnej stabilności politycznej w warunkach kryzysu gospodarczego. W ogóle szokowało mnie, że gospodarka jest ostatnim tematem, który by różnił obydwu kandydatów. W pierwszej turze przemówiła do mnie łagodna wersja państwa realizującego chrześcijańskie wartości i odpowiedzialnego za budowanie wspólnoty politycznej o te wartości opartej. Jak-*



kolwiek nie postrzegam PiS-u jako gwaranta tych wartości, to mimo wszystko jest mi do nich bliżej, niż do wizji laicyzacji w modelu zachodnioeuropejskim, którą reprezentował sobą Prezydent Trzaskowski. Także mimo wszystko Duda, ale nie z punktu widzenia nacjonalistycznego, tylko chadeckiego”.

Wyjaśnienie innego wyborcy Szymona Hołowni, a później Andrzeja Dudy, 40-letniego pracownika branży doradczej z Warszawy brzmiało tak: „II tura była bardzo trudna ze względu na ogólną słabość i uwikłania kandydatów. Zgodnie ze swoim zwyczajem usiłowałem zagłosować bardziej za niż przeciw. Nie było to łatwe (...). Głosowanie na Rafała Trzaskowskiego byłoby tylko głosowaniem przeciw PiS i jednocześnie za agresywnym wariantem koabitacji. Ostatecznie postawiłem na Andrzeja Dudę dość warunkowo, mając lichą nadzieję, że druga kadencja będzie w jego wykonaniu bardziej niezależna, dojrzała i mądra niż pierwsza, i mając na względzie: jednoznacznie patriotyczną postawę, słabość oferty Rafała Trzaskowskiego, postawę «hunwejbiniów Trzaskowskiego», jak ich określił Szymon Hołownia, akceptowanie i popieranie nauczania Kościoła, przekonanie o tym, że Andrzej Duda utrzyma wielotorowy kurs w polityce zagranicznej oparty nie tylko na UE, ale też na współpracy z USA czy promowanie Międzymorza, współpracy w ramach Grupy Wyszehradzkiej itp.”.

#### Wyborcy Bosaka za Trzaskowskim

27-letni przedsiębiorca z Warszawy, który wybrał najpierw Krzysztofa Bosaka, a później Rafała Trzaskowskiego, tłumaczył: „W pierwszej turze głosowałem na kandydata, który w mojej opinii miał naj-

lepszy program. W drugiej – na tego, którego politykę uważałem za lepszą dla Polski. Najważniejszym kryterium jest dla mnie gospodarka. Politykę gospodarczą PiS-u oceniam zaś bardzo negatywnie, dlatego wolałem głosować na kandydata, który potencjalnie zamrozi PiS-owi możliwość przeprowadzania dalszych zmian”.

**„W pierwszej turze przemówiła do mnie łagodna wersja państwa realizującego chrześcijańskie wartości i odpowiedzialnego za budowanie wspólnoty politycznej o te wartości oparte. Jakkolwiek nie postrzegam PiS-u jako gwaranta tych wartości, to mimo wszystko jest mi do nich bliżej, niż do wizji laicyzacji w modelu zachodnioeuropejskim, którą reprezentował sobą prezydent Trzaskowski”**  
(wyborca Szymona Hołowni, w II turze zagłosował na Andrzeja Dudę)

Joanna Sawicka, 27-letnia pracowniczka medyczna z Białegostoku, która w pierwszej turze poparła Krzysztofa Bosaka, kierując się programem gospodarczym Konfederacji, tłumaczyła, że o głosie na Rafała Trzaskowskiego w drugiej turze zadecydowała inna kwestia: *„Na korzyść Rafała Trzaskowskiego przeważało to, że prezydent jest osobą decyzyjną w kwestii dwóch członków KRRiT, a w ostatnim czasie jedną z największych moich bolączek jest to, co dzieje się w publicznych mediach. Uważam, że ludzie, głównie starsi, nie mają dostępu do rzetelnych informacji o sytuacji w państwie, a telewizja publiczna już od jakiegoś czasu jest po prostu tubą nadawczą obecnej władzy. Zmiana na stanowisku prezydenta dawałaby mi nadzieję na zmiany w zarządzie i nowy kierunek mediów publicznych”*.

50-letni pracownik administracji z dużego miasta, który najpierw zagłosował na Krzysztofa Bosaka, tak uzasadniał głos na Rafała Trzaskowskiego: *„Lepiej, aby dwa złe ugrupowania wzajemnie się równoważyły. Wybór Trzaskowskiego nie jest nawet wyborem mniejszego zła, jest wyborem wzmocnienia słabszego zła, przeciw mocniejszemu. Jeżeli jest niedobrze, należy głosować za zmianą. Zmiana może przynieść poprawę”*.

Krzysztofem Hubaczkim, 42-letni doktorem filozofii ze Szczecina, kierowała przede wszystkim chęć powstrzymanie szkodliwej w jego ocenie polityki partii rządzącej polegającej na rozdawnictwie i ograniczaniu swobód obywatelskich: *„Kandydat PO, podobnie jak sama partia, wydaje się czysto koniunkturalny i bezideowy, jednak dawałby szanse na blokowanie niszczenia państwa i gospodarki przez PiS”*.

50-letnia pielęgniarka z dużego miasta, którą do poparcia Krzysztofa Bosaka przekonały przedstawione przez tego kandydata konkretne pomysły na rozwiązywanie polskich problemów, stwierdziła, że w drugiej turze o oddaniu głosu na Rafała Trzaskowskiego zadecydowała odraza dla nieznośnej propagandy telewizji publicznej i nieprzyzwoitego sposobu kupowania przez obóz PiS głosów.

Nieco odmienny od wszystkich poprzednich punkt widzenia przedstawił Jakub, wyborca Konfederacji, który przeanalizowawszy kryteria, jakimi kierował się dotychczas, dostrzegł brak mających realne znaczenie różnic pomiędzy dwoma kandydatami i zdecydował się na głos „taktyczny”: *„Prezydent w Polsce właściwie niewiele może poza wetowaniem. Jeśli wygrałby Trzaskowski, to (...) PiS miałyby trzy wyjścia: trwać i administrować, rozpisać nowe wybory lub pisać jakościowo dobre ustawy, które zachęcą PSL i Konfederację do odrzucenia ewentualnego weta prezydenta (Zjednoczona Prawica, PSL i Konfederacja mają razem dokładnie 3/5 posłów). Liczyłem na punkt trzeci, gdzie Trzaskowski miałby pełnić rolę bezpiecznika i tym samym zapewniać Konfederacji rolę jęczyczka u wagi”*.

### **Bez głosu w drugiej turze**

Inną grupę stanowią wyborcy, którzy po pierwszej turze zdecydowali się nie wybierać nikogo w drugiej. Przyjrzyjmy się ich motywacjom.

Kamil Zatorski, 25-letni specjalista w branży IT, stwierdził: *„Najistotniejsze dla mnie są kwestie ekonomiczne, a zarówno Andrzej Duda jak i Rafał Trzaskowski zapowiadali dalsze zwiększanie transferów socjalnych, któremu jestem*

przeciwny. Nie chcąc znów żałować wyboru «mniejszego zła», tak jak 5 lat temu, tym razem postanowiłem zostać w domu”.

20-letni Filip z Włocławka uznał, że nie jest w stanie dokonać wyboru: „Definiuję swoje poglądy jako konserwatywno-liberalne i popieram wolnościowe skrzydło partii Konfederacja. Nie oddałem głosu w drugiej turze, ponieważ trudno było mi ocenić, który kandydat będzie faktycznie mniejszym złem. Z jednej strony Andrzej Duda, czyli kontynuacja łamania konstytucji, zadłużania państwa i przekupywania obywateli ich własnymi pieniędzmi, a z drugiej strony Rafał Trzaskowski – eurokrata, lewicowy liberał, socjaldemokrata, wywodzący się z proniemieckiej partii, reprezentujący rewolucję kulturową, której skutki możemy obserwować w krajach zachodnich takich jak Francja czy Belgia”.

Kamil, 31-letni programista z Krakowa, po oddaniu głosu na Szymona Hołownię zdecydował, że w drugiej turze nie weźmie udziału. Jak to uzasadniał? „Głosowałem na Szymona ze względu na jego apolityczność, transparentność i potencjał na zmianę polityki w to, czym faktycznie powinna być – zajmowaniem się przyziemnymi problemami i próbą pogodzenia różnych racji, oraz odejściem od politycznego reality show. Prezydent nie powinien być związany z żadną partią, bo powinien być prezydentem wszystkich Polaków, a nie wrogiem 49% z nich. Druga tura to był już wybór mniejszego zła, a wybór zła mnie nie interesuje”.

Wyborca Szymona Hołowni, 33-letni pracownik branży finansowej z Warszawy, który w drugiej turze oddał głos nieważny, stwierdził: „«Przegrałem» już w pierwszej turze. Nie wierzę w PiS (choć wyróżniłbym kilka ich decyzji «in plus», to jestem

zdegustowany przede wszystkim bezczelnym obniżaniem kultury politycznej, uczynieniem z mediów publicznych tub propagandowych i swobodnym podejściem do kreowania prawa), ale tym bardziej nie wierzę w to, że zwycięstwo Rafała Trzaskowskiego mogłoby spowodować coś więcej niż tymczasowe odbicie przyczółku. Przedłużyłoby to klincz, w którym tkwimy. Oba brandy są dla mnie zużyte i skompromitowane”.

**„Kandydat PO, podobnie jak sama partia, wydaje się czysto koniunkturalny i bezideowy, jednak dawałby szanse na blokowanie niszczenia państwa i gospodarki przez PiS” (wyborca Krzysztofa Bosaka, w II turze głosował na Rafała Trzaskowskiego)**

Kolejny wyborca Szymona Hołowni z dużego miasta, który nie oddał głosu w drugiej turze podsumował: „Głos na Andrzeja Dudę byłby udzieleniem bezwarunkowego poparcia jego przełożonemu, co nie wchodziło w grę, choćby w kontekście skali podporządkowania instytucji publicznych PiS-owi, w tym zwłaszcza radosnej twórczości TVP. Z drugiej strony obawiam się, że Rafał Trzaskowski przedkładałby przy sprawowaniu urzędu interes własnej partii nad interes państwa, w myśl zasady «im

gorzej, tym lepiej». *Nie uważając żadnej z oferowanych postaci zła za wyraźnie mniejsze, skorzystałem z uprawnienia do odmowy poparcia którejkolwiek”.*

*„Obaj kandydaci z drugiej tury stosują mocno wykluczającą retorykę, tylko w stosunku do innych grup (LGBT lub niższy status społeczno-ekonomiczny). Ja chcę po prostu innej opozycji”* – dodał do listy argumentów za nieoddaniem głosu w drugiej turze inny wyborca Szymona Hołowni.

34-letni członek Stowarzyszenia Ko-Liber, który w pierwszej turze oddał głos na Stanisława Żółtka, powiedział: *„Przymilanie się do wyborców wolnorynkowych i konserwatywnych w ostatnich dwóch tygodniach kampanii było dla mnie niewiarygodne, gdy wziąłem pod uwagę dotychczasową działalność polityczną obu kandydatów. Trzaskowski pewnie blokowałby część ustaw PiS, ale już w blokowaniu socjalnego rozdawnictwa nie wierzę. Poza tym – nie wiadomo, kto będzie rządził po następnych wyborach parlamentarnych. Jeśli PiS przegra, to Duda może się okazać hamulcowym. Oddanie nieważnego głosu pokazuje, że jestem zainteresowany grą wyborczą, ale trzeba coś realnie działać na rzecz moich poglądów, żeby zyskać mój głos, a nie tylko być mniejszym złem”.*

## **Wycinek rzeczywistości**

Zacytowane wypowiedzi stanowią obraz bardzo wycinkowy, na pewno niereprezentatywny dla całości, nazwijmy to, nieszablonych wyborców, bo brakuje wśród nich choćby mieszkańców małych miast i wsi, jednak dają do myślenia, wskazując na powtarzające się wątki. Motyw wybierania mniejszego czy większego zła, zamiast dobra, towarzyszy nam od dawna. Trwa, odkąd trwa duopol PO-PiS, w którym jak ostatnio stwierdził Piotr Trudnowski, parafrazując znane słowa Stefana Kisielewskiego o czymś innym na „d”, wielu z nas już zaczęło się urządzać.

Jednak wyborcy Konfederacji czy Szymona Hołowni, mimo wszystko, w duopolu zdomowieni nie są. Wśród osób, z którymi miałam okazję porozmawiać o ich głosowaniach, nikt nie był zadowolony z oddanego w drugiej turze głosu. Ci wyborcy domagają się kilku rzeczy, których nie da im ani PiS ani PO: zaprzestania zawłaszczania i niszczenia instytucji, wielowektorowej polityki zagranicznej, skończenia z nieznośną propagandą TVP, realizacji chrześcijańskich wartości w czymś więcej niż warstwie retorycznej, zaprzestania rozdawnictwa na masową skalę, skończenia z prowadzeniem polityki za pomocą niewiści i wykluczających komunikatów.



# Tajemnica wysokiej frekwencji

Z prof. Jarosławem Flisem  
rozmawia Natalia Kołodyńska-Magdziarz



## JAROSŁAW FLIS

Doktor habilitowany nauk społecznych, socjolog, pracownik Uniwersytetu Jagiellońskiego, specjalista w dziedzinie socjologii polityki, autor książki *Złudzenie wyboru*

**W interesie polityków jest przekonywać wyborców, że walczą z kimś, kto ma na sumieniu grzechy śmiertelne. Jeśli wyborcy są przekonani, że toczą bój w imię najwyższych wartości, to nie zwracają uwagi na grzechy pospolite polityków własnej strony**

**Przed drugą turą sztaby obu kandydatów prowadziły kampanię profrekwencyjną, która przyniosła wymierne efekty. Kto zmobilizował się do głosowania i który z kandydatów na tym skorzystał?**

W drugiej turze zostało oddanych 800 tys. głosów więcej (pomijając te z zagranicy), a około miliona uprawnionych zagłosowało poza miejscem zamieszkania. Oznacza to, że na razie trudno wyciągnąć wnioski. Wiemy, że istotna część tych głosów została oddana tam, gdzie ludzie pojechali na wakacje, nie wiemy jednak, skąd one ubyły.

Porównajmy Końskie i Leszno. Jeśli chodzi o nowych wyborców, to w II turze w Końskich przybyło 10 osób, natomiast w Lesznie ubyło 800 osób. Jeśli chodzi o frekwencję, to w Lesznie wzrosła o 6,5%, natomiast w Końskich wzrost był niemal dwukrotnie większy. Lecz skoro w Lesznie

800 osób wypisało się ze spisu wyborców, to możemy zakładać, że dopisały się w innym miejscu, a to oznacza, że wzrost mobilizacji wśród mieszkańców tych dwóch miejscowości był niemal identyczny. Należy też zwrócić uwagę, że wyniki kandydatów w tych miejscach są symetryczne – Andrzej Duda zdobył 61% głosów w Końskich i 34% w Lesznie. Można więc prawdopodobnie przyjąć, że obie strony zmobilizowały się w podobnym stopniu, jednak przestrzennie jest to mocno zatarte przez zwiększoną mobilność związaną z wakacjami.

Mamy dwa podstawowe źródła informacji – exit poll i dane PKW. W przypadku tego pierwszego są to odpowiedzi ankietowanych, na których podstawie zdobywane są informacje o strukturze głosujących. Informacje te, podobnie jak wszystkie badania sondażowe, obarczone są istotnym błędem – część odpowiedzi jest oczywista, ponieważ ludzie są pytani przed konkret-

nymi lokalami, można też stwierdzić, jaką mają płęć – natomiast informacje o wykształceniu czy wieku zdobywane są jedynie na podstawie deklaracji danej osoby, a ludzie nie muszą być szczerzy w tych sprawach. Drugi problem z interpretacją danych jest taki, że są wakacje i ludzie często głosują poza miejscem zamieszkania. Nigdy wcześniej nie mieliśmy wyborów w samym środku sezonu urlopowego. Do tego doszła możliwość dopisywania się do spisu wyborców przez ePUAP. We wcześniejszych wyborach nie było w sprawozdaniach informacji o tym, kto głosuje

**W Polsce, do tego cyklu wyborczego, mieliśmy do czynienia ze zjawiskiem, które – na potrzeby japońskie – jeden z tamtejszych badaczy nazwał „odwróceniem frekwencji” (*turnout twist*)**

na podstawie zaświadczenia, przez co dochodziło do takich paradoksów jak w II turze wyborów w 2010 roku, kiedy w gminie Rewal zagłosowało więcej osób niż było w spisie wyborców. Porównując wybory z 2010, które odbyły się w sezonie wakacyjnym, z tymi w 2005, które odbyły się we wrześniu, możemy zobaczyć, że największe skoki frekwencji były nad morzem, w górach i na Mazurach. Wiemy, że wyborcy tam głosowali, nie wiemy jednak, skąd przyjechali.

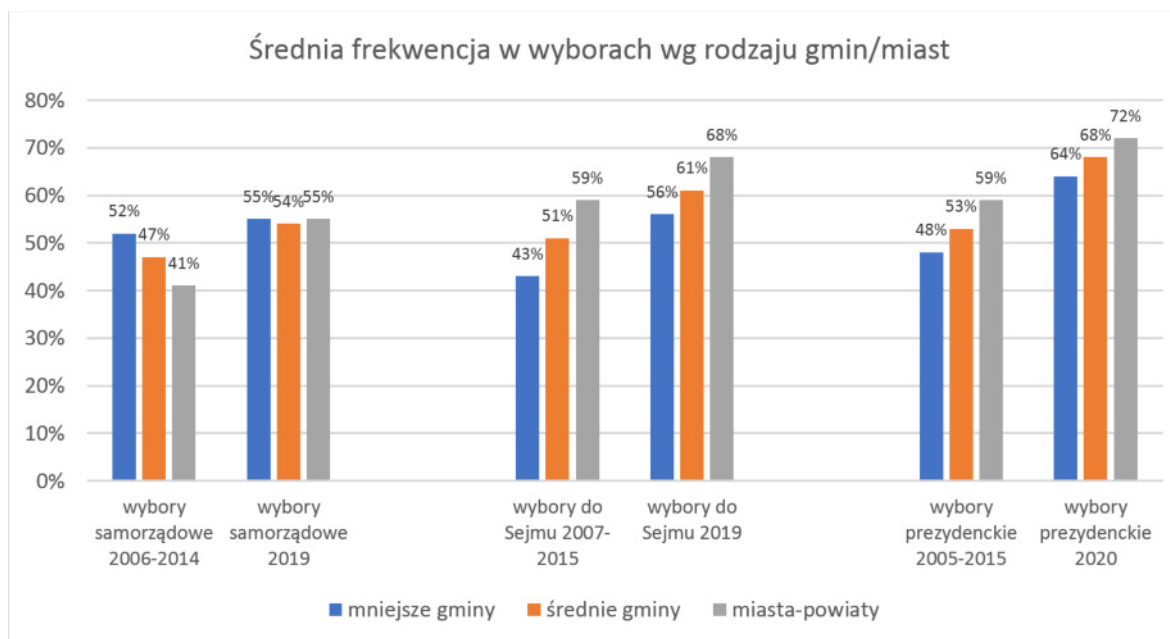
W tym roku mamy dużo więcej informacji, ponieważ mamy dokładnie rozpi-

sane, ile głosów zostało oddanych na podstawie zaświadczenia, wiemy też ile osób dopisało się przez ePUAP (choć nie wiemy, jaki wpływ na frekwencję miał fakt, że po dopisaniu się do spisu na I turę, trzeba było w II turze głosować w tym samym miejscu, oraz to, że część osób nie mogła zagłosować, ponieważ dopisała się do spisu w maju i nie wiedziała, że musi to zrobić po raz drugi). Dane te są jednak rozproszone, niekompletne i budzą różne wątpliwości. Wymagają dłuższych, uważnych analiz.

**Wzrost frekwencji to jednak nie tylko kwestia ostatnich wyborów prezydenckich, ale wszystkich elekcji w ostatnich latach. Nasuwa się więc pytanie, jak zachowują się poszczególne grupy wyborców: kto głosuje zawsze, kto nie głosuje nigdy, a kto zmobilizował się w ostatnim czasie?**

W Polsce, do tego cyklu wyborczego, mieliśmy do czynienia ze zjawiskiem, które – na potrzeby japońskie – jeden z tamtejszych badaczy nazwał „odwróceniem frekwencji” (*turnout twist*). W zdecydowanej większości krajów świata, za wyjątkiem m.in. właśnie Japonii, Francji, a przede wszystkim Polski, uznaje się za oczywiste, że w wyborach samorządowych frekwencja jest niższa. W Polsce nie jest to takie oczywiste, ponieważ, podobnie jak w przypadku Japonii, zależy to od wielkości miejscowości.

Dla uproszczenia można podzielić Polskę na trzy równe co do rozmiaru części: małe gminy, średnie gminy i miasta-powiaty. Jeśli spojrzymy na średnią frekwencję w wyborach do Sejmu w latach 2007-2015, widzimy proste zjawisko – najniższa frekwencja jest w małych gminach, większa – w średnich i najwyższa –



w miastach-powiatach. Natomiast w wyborach samorządowych w tym samym okresie widać dokładnie przeciwne zjawisko.

Wyjaśnić to można wyróżniając trzy grupy wyborców. Pierwsi to wyborcy totalni, którzy chodzą na wszystkie wybory – to nie jest jednak typowym zachowaniem. Druga grupa to wyborcy medialni, którzy chodzą na wybory, w których rozstrzyga się, kto obsadzi organy najczęściej pokazywane w mediach. W Polsce premier jest tam najczęściej pokazywany, więc oni idą na wybory parlamentarne. Ta grupa najliczniejsza jest w miastach-powiatach, gdzie obejmuje kilkanaście procent wyborców. Trzecia grupa to wyborcy lokalni, którzy głosują tylko w wyborach samorządowych, bo idą oddać głos, jeśli ktoś znajomy ich poprosi. W mniejszych miejscowościach jest dużo więcej radnych na jednego mieszkańca, więc większa część osób zna osobiście radnego. W związku z tym idą na niego zagłosować. Natomiast nic nie wskazuje na to, żeby uważali oni wybory do Sejmu za ważniejsze. Grupa ta w mniejszych gminach stanowi ok. 10% uprawnionych.

Wybory prezydenckie mają pewną specyfikę. Są one prawie tak medialne jak wybory parlamentarne. Natomiast jeśli chodzi o mniejsze gminy, to dla ich mieszkańców te wybory są ważniejsze od sejmowych, ale nie tak ważne jak samorządowe.

### Co decyduje o tym, czy ktoś idzie głosować?

Wyjaśnić to można przez analogię do teorii grawitacji – żeby przyciągnąć wyborcę do urny, konieczne jest działanie odpowiedniej siły. Wyborca ma swoje sprawy, może mu się nie chce iść na wybory, więc musi zadziałać na niego coś, co sprawi, że nie ominie urny szerokim łukiem. Po pierwsze, sprawa rozstrzygana za pomocą takiej urny musi mieć odpowiednią wagę. Po pierwsze, wyborca musi uznawać siebie za ważnego, a po trzecie – sprawa musi być mu stosunkowo bliska.

Te trzy czynniki powiązane są tak jak w prawie grawitacji. Waga sprawy i waga własna wyborcy się przemnażają, zaś odległość spraw działa w drugą stronę –

zmniejsza siłę przyciągania. W wyborach częściej głosują ludzie, którzy siebie uznają za ważnych, czyli np. lepiej wykształceni i bogatsi, co jest ogólnościową cechą. Często głosują też ludzie, którzy uznają się za część wspólnoty – wtedy sami zyskują na wadze, a i wspólne sprawy są dla nich ważniejsze. Dlatego częściej na wybory chodzą ludzie religijni. Oni często idą tam, gdzie każe iść lider społeczności, a ksiądz często zachęca do udziału w wyborach.

Ważna jest też odległość, czasami w bardziej subiektywnym sensie – tak jak w japońskiej perspektywie. Rzeczy zamglone wydają się odleglejsze. Dlatego jeśli kandydaci mało się różnią, to działa to tak samo jak wtedy, gdy są z innych miast, czy gdy pierwszy raz się o nich słyszy. Jeśli zaś zna się kandydatów np. z sąsiedztwa, to sprawa jest nam bliższa i siła przyciągania jest większa. Dlatego fakt osobistej znajomości z radnym dużo lepiej tłumaczy wyższą frekwencję w wyborach samorządowych niż np. wykształcenie.

### **Dlaczego więc frekwencja wzrosła akurat teraz?**

Spójrzmy na właśnie kończący się cykl wyborczy. W wybory samorządowe bardzo zaangażowali się premier i prezes, zachęcali do udziału, mobilizowali. Wygląda na to, że nakłonili do udziału może nie wszystkich, ale zdecydowaną większość wyborców medialnych – przekonali ich, że wybory samorządowe to jest ważna sprawa. Inna rzecz, że zachęcili głównie swoich przeciwników. Najsilniej frekwencja skoczyła tam, gdzie była niska, czyli w miastach-powiatach, gdzie wyborców lokalnych jest bardzo mało.

W wyborach do Sejmu 2019 frekwencja wszędzie poszła w górę, ale znów najbar-

dziej tam, gdzie była najniższa – czyli tym razem w mniejszych gminach. Wiadomo, że tam łatwiej przekonać wyborców do udziału w wyborach niż tam, gdzie frekwencja była poniżej 50%, i każdy kolejny procent jest już coraz trudniejszy. Wciąż jest tak, że mieszkańcy miast-powiatów głosują częściej, ale ta różnica się zmniejsza. Dawniej mieszkańcy miast-powiatów głosowali o jedną trzecią częściej od mieszkańców mniejszych gmin, w 2019 – już nawet nie o jedną czwartą.

**Co sprawia, że ludzie idą głosować? Po pierwsze, sprawa rozstrzygana za pomocą takiej urny musi mieć odpowiednią wagę. Po pierwsze, wyborca musi uznawać siebie za ważnego, a po trzecie – sprawa musi być mu stosunkowo bliska**

### **Nie raz słyszeliśmy w ostatnim czasie, że wybory wygrywa się w Końskich...**

Nie wiem, jak zareagowali na to Warszawiacy czy Krakusy, ale ewidentnie mieszkańcy Końskich w to uwierzyli. Jeśli mieszkańców mniejszych miejscowości się odwiedza, to ich przekonanie o własnej wartości rośnie, a odległość od krajowej polityki spada, a co za tym idzie – chętniej biorą udział w wyborach. Tam też były wyższe rezerwy z uwagi na wcześniejszą niższą frekwencję.



Inną sprawą jest nasilająca się polaryzacja, w szczególności z udziałem mediów z jednej i drugiej strony. Media publiczne, które są powszechnie odbierane w całym kraju, permanentnie podkreślały te podziały i przedstawiały te wybory jako walkę prawdziwej Polski z Targowicą. Media drugiej strony również dolewały oliwy do ognia. Szczególnie lewicowo-liberalne środki przekazu pokazują, że są partie lepsze, które my wybieramy – te, na które głosują młodzi, wykształceni, bogaci mieszkańcy dużych miast. To jest standardowy przekaz, mimo że jest oczywistą bzdurą. Platforma we wszystkich wyborach zdobywała więcej głosów w powiatach ziemskich niż w grodzkich (czyli w miastach na prawach powiatu). Powiaty ziemskie to 2/3 Polski, więc trzeba byłoby mieć dramatyczną przewagę, żeby zdobyć więcej w miastach-powiatkach. A zatem wciąż ponad połowa wyborców PO mieszka w miejscowościach mniejszych niż Leszno, co więcej – większość z nich nie ma studiów wyższych i jest po czterdziestce.

Do tego dochodzi zmiana strategii wyborczej. Wszyscy wiedzą, że jeśli robi się spotkania w dużych miastach, to one przykuwają dużo mniejszą uwagę mieszkańców niż w mniejszych miejscowościach, choć teoretycznie łatwiej zgromadzić tłumy. Dla warszawiaka widok ministra nie jest niczym niezwykłym. Podobnie przeżywanie tego wydarzenia, czy traktowanie go jako tematu do rozmów, będzie zdecydowanie mniej intensywne w dużych miastach. Dlatego kandydatom dużo bardziej opłaca się jeździć do mniejszych miejscowości, ponieważ robi to na wyborcach dużo większe wrażenie – nasz przekaz trafia do sieci społecznych, jest to większe wydarzenia medialne, ponieważ pojawienie się kogoś znanego z mediów jest czymś niecodziennym.

### **Jak to wygląda jeśli chodzi o wiek? Czy młodzi faktycznie nie interesują się polityką?**

Waga spraw publicznych narasta z wiekiem wraz z tym, jak człowiek coraz bardziej się ukorzenia. Jeśli człowiek nie jest ukorzeniony, to nie ma silnej tożsamości, i nie traktuje spraw wspólnych jako szczególnie ważnych. Do tego nie podporządkowuje się normom społecznym i nie ma zwykłych codziennych trosk. Dotyczy to zwłaszcza tzw. bambinich, którzy mają w domu wikt i opierunek, i większym problemem jest dla nich ilość lajków na Facebooku, niż to, w jakim stanie jest szkoła itd.

To też zmienia się generacyjnie. Pewne duże, wspólne doświadczenia przyciągają do urn kolejne generacje. Jest to też związane z cyklem życiowym. Inaczej zachowuje się wyborca, który dojrzeje, założy rodzinę, ma dzieci, stałą pracę. Wraz z liczbą klótni z szefem, skłonność do głosowania rośnie, ponieważ człowiek ten nie ma już przekonania, że sam jest sobie sterem, żeglarzem i okrętem. Taka osoba wie, że istnieje sporo problemów, rozstrzyganych zbiorowo. Na całym świecie młodzi ludzie stopniowo dojrzewają do głosowania, a ponieważ w bogatych społeczeństwach dojrzewają też coraz później, to i za głosowanie zabierają się powoli.

Sprawę w Polsce komplikuje jednak to, że w kolejnych grupach wiekowych różni się poziom wykształcenia oraz rozmieszczenie terytorialne wykształconych. W pokoleniu 60+ wyższe wykształcenie jest dużo rzadsze niż u osób do 40 roku życia. W małych gminach starsi wykształceni są już prawdziwą rzadkością – mieszkają głównie w miejscowościach średnich i miastach-powiatkach. Natomiast w ostatnich dwudziestu latach to właśnie w ma-

łych gminach najszybciej rośnie liczba osób z wyższym wykształceniem, choć oczywiście wciąż jest ich tam mniej niż w miastach-powiatach. Zmniejszająca się różnica frekwencji może po części wynikać z upodabniania się struktury wykształcenia.

**Są jeszcze wybory, które dotychczas nie interesowały nikogo, a ostatnio mieliśmy w nich do czynienia ze spektakularnym wzrostem. Mam na myśli wybory do Parlamentu Europejskiego.**

W mniejszych gminach frekwencja skoczyła ponaddwukrotnie, w większych – nieco mniej. Wciąż najwyższa była w miastach-powiatach, i mimo że różnice we frekwencji w punktach procentowych się utrzymały, to jednak proporcje całkowicie się zmieniły. Wtedy już widać było pewną „totalizację” zaangażowania wyborczego. Na wybory europejskie zadziałał tzw. efekt sondażowy: te wybory wciąż nie są specjalnie ważne, ale potraktowano je jako próbę sił, próbę generalną przed wyborami do sejmu, walkę o *pole position*. Jak widać, jednak nie cały elektorat poszedł na takie wybory, w mniejszych miejscowościach frekwencja w wyborach europejskich stanowiła 73% frekwencji w wyborach parlamentarnych, a w miastach-powiatach – 79%.

To wtedy potwierdził się widoczny w wyborach samorządowych trend do „totalizacji” wyborców – tzn. nie chodzą oni już tylko na niektóre wybory, a na wszystkie. Oczywiście jest to pewne uproszczenie, ponieważ nawet wyborcy, którzy chcą chodzić na wszystkie wybory, raz realnie chodzą, a raz nie. Osób zupełnie niechodzących na wybory jest – wedle różnych szacunków – ok. 15-20%. Część wyborców nie głosuje, bo jest poza miejscem zamieszkania, bo jest chora, zmęczona

lub ma 12-godzinną zmianę w pracy. Część osób jest tak zdeterminowana, że szuka jakichś rozwiązań – np. głosuje korespondencyjnie – ale część zwyczajnie odpuści.

**W zintegrowanym domu wystarczy jedna osoba zainteresowana polityką, żeby wszyscy poszli głosować.**

**W zdezintegrowanym domu każdy musi interesować się polityką, żeby zagłosowali wszyscy**

Są też wyborcy zależni, czyli tacy, których ktoś inny wyciąga na wybory, najczęściej domownicy. W Danii każdy dostaje elektroniczną kartę, uprawniającą do poboru karty do głosowania. W lokalu wyborczym odbija kartę w czytniku, dzięki czemu wiadomo, gdzie i o której kto zagłosował. Na podstawie tych danych naukowcy odkryli, że jeśli domownicy chodzą na wybory razem, to głosują częściej niż ci, którzy robią to osobno. Często jest tak, że jeśli rodzina jest spójna więzią, ma jakiegoś lidera, to on ich wszystkich wyciąga na wybory. W takim zintegrowanym domu wystarczy jedna osoba zainteresowana polityką, żeby wszyscy poszli głosować. W zdezintegrowanym domu każdy musi interesować się polityką, żeby zagłosowali wszyscy.

Ciekawe też były wyniki po kolejnych wyborach, które pokazały, że jeśli ktoś wprowadził się z domu, to tam, gdzie

każdy głosował osobno, frekwencja się nie zmieniała, natomiast po wyprowadzce z domu, w którym wszyscy głosowali razem, frekwencja spadała. A zatem część takich osób bez tego „wyciągania” nie idzie na wybory. Można przypuszczać, że w Polsce jest podobnie. To zależy też od zaangażowania w wybory, jeśli ktoś jest zdeterminowany, to wyciągnie ciotkę lub sąsiada, natomiast jeśli nie jest – to nie będzie miał do tego motywacji i jedynie pójdzie sam.

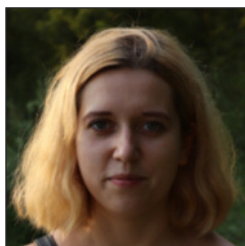
### **Czy ten wzrost frekwencji w wyborach się utrzyma? Czy to dobre zjawisko, i powinniśmy zabiegać o jego utrzymanie?**

Frekwencja jest dość nieprzewidywalna. Natomiast doszło do pewnego upodmiotowienia. Ceną za to jest ewidentne przegrzanie atmosfery, co nie jest dobre. Pytanie: co jest lepsze? Czy chcemy, żeby atmosfera ostygła, jak w 2011, kiedy zarówno PO jak i PiS pogubiły po milionie wyborców, którzy zostali w domu? Jeśli za tym spadkiem emocji miałyby stać zniechęcenie, to byłoby źle. Dobrze byłoby, gdybyśmy te emocje jakoś ucywilizowali, nauczyli się z nimi żyć, a przynajmniej odrobinę stonowali. Główny problem z nimi polega na tym, że biorą się z głębokiego przekonania, że toczymy codzienną ostateczną walkę, ponieważ tak przedstawiają to politycy. Przekonują nas, że jest to starcie cywilizacyjne, ale żadna cy-

wilizacja nie posypała się po ostatniej wyborczej niedzieli. Pewnie jeśli tak łatwo byłoby ją zniszczyć, to nie byłaby warta specjalnego szacunku.

Jest to bardzo przesadzone, ale w interesie polityków jest przekonywać wyborców, że walczą z kimś kto ma na swoim sumieniu grzechy śmiertelne albo niszczenie demokracji, narodu, planety, tkanki społecznej. Jeśli wyborcy są przekonani, że toczą bój w imię najwyższych wartości, to nie zwracają uwagi na grzechy pospolite polityków własnej strony. To nie jest dobre, bo buduje wśród polityków poczucie bezkarności. W moim przekonaniu politycy są jak krowy. Jeśli spuści się ich z oka, to zaraz idą w szkodę. Dobrze więc, że wyborcy są zmobilizowani, ale jeśli na skutek zaciętrzewienia będą odpuszczać swoim, to już tak dobrze nie jest. Mam nadzieję, że te elementy szczucia i napuszczania na siebie po jednej i po drugiej stronie, częściowo przez polityków, częściowo przez media, zostaną opanowane i stłamszone. Być może jedna i druga strona zauważy, że to im bardziej szkodzi niż pomaga. Strona, która byłaby skuteczniejsza w powstrzymaniu własnych harcówników i w pozytywnym odbijaniu ataków drugiej strony, mogłaby wygrać w przypadku opozycji, lub wygrać wyraźniej w przypadku PiS, te wybory. Choć być może to tylko moje chęć.

Dobrze żeby ta frekwencja z nami została, choć mogłaby mieć trwalsze podstawy niż złość i wyolbrzymione obawy.



### **NATALIA KOŁODYŃSKA-MAGDZIARZ**

Sekretarz zespołu „Nowej Konfederacji”.

Absolwentka bezpieczeństwa wewnętrznego na Uniwersytecie Warszawskim. Pracowała dla polityków i instytucji publicznych oraz organizacji pozarządowych

## Białoruś, czyli masa upadłościowa



### MAREK BUDZISZ

Były dziennikarz, doradca dwóch ministrów w rządzie Jerzego Buzka, analityk. Obecnie w biznesie. Z wykształcenia historyk.

**Zbudowane przez Łukaszenkę postsowieckie państwo właśnie wchodzi w stan upadłości. Bez reform, których reżim nie chce – bankructwo jest nieuchronne. Kiedy to nastąpi, masę upadłościową najprawdopodobniej przejmie Moskwa**

O co toczy się gra między Mińskiem a Moskwą? Aleksiej Wieniediktow, szef stacji radiowej Echo Moskwy, w grudniu ubiegłego roku przeprowadził długi wywiad z Alaksandrem Łukaszenką, odsłaniający kulisy negocjacji w sprawie „pogłębienia” integracji Białorusi i Rosji. Dziennikarz ujawnił, że w trakcie rozmowy białoruski prezydent zdradził powody swego sprzeciwu wobec całego planu. Miało pójść o to, że spodziewał się co najmniej funkcji wiceprezydenta nowego państwa, a otrzymał propozycję objęcia funkcji spikera Dumy, co było zdecydowanie poniżej jego aspiracji.

Jeśliby te informacje potwierdziły się, to mielibyśmy odpowiedź na pytanie postawione na początku. Niepodległościowa narracja, w której zagustował w ostatnich miesiącach Alaksandr Łukaszenka, byłaby jedynie czymś w rodzaju licytacji, mającej na celu podniesienie własnej wartości w oczach Kremla przed powrotem do stołu rokowań, które mają, o czym mówił niedawno białoruski ambasador w Mosk-

wie, Władimir Siemaszko, znów zacząć się jesienią, czyli po wyborach prezydenckich.

W kategoriach wstępu do negocjacji, czy raczej zakreślenia swego stanowiska, trzeba też traktować słowa tego ostatniego, że pierwotna propozycja integracyjna Moskwy sprowadzała się do przekazania 95% pełnomocnictw „na wyższy poziom”, co w gruncie rzeczy równałoby się „podniesieniu rąk do góry”. Na zachętę Mińsk może dostać 500 mln dolarów kredytu, który Łukaszenka zaczął właśnie negocjować z rosyjskim Sberbankiem.

Scenariusz białoruskich władz na wybory jest już jasny. Początkowo dały się one zaskoczyć pojawieniem się trzech poważnych i konkurencyjnych kandydatów (Siarhiej Cichanouski, Wiktar Babaryka i Waleryj Cepkała), ale szybko przeszły do kontrofensywy. Cichanouski nie mógł zarejestrować swej kandydatury, bo znalazł się w areszcie, a kampania jego żony, kandydującej w zastępstwie męża, zaczęła kuleć po tym, jak został on ponownie,



tym razem na dłużej, aresztowany w wyniku dość bezczelnej prowokacji z udziałem ściągniętej z Mińska do Grodna prostytutki. Los Cichanouskiego podzieliła duża liczba jego współpracowników. Z Wiktorem Babaryką sprawa była trudniejsza, bo to kandydat o znacznie poważniejszej pozycji. Mińsk obawiał się, że uderzenie w byłego prezesa banku, który należy do Gazpromu, wzbudzi gniewne pomruki w Moskwie. Ale kiedy okazało się, że Kreml nie będzie interweniował, powołany do zmienionego przez Łukaszenkę rządu generał KGB Iwan Tertel przystąpił do działania. W efekcie Babaryka oraz kierujący jego kampanią syn Edward, a także wielu współpracowników z czasów, kiedy kierował on bankiem, zostało aresztowanych. Niewykluczone, że jego kandydatura zostanie zarejestrowana, ale kampanii nie będzie mógł prowadzić. Podobnie jak Cepkała, którego kandydatury władze najprawdopodobniej nie zarejestrują, kwestionując zebrane przez sztab podpisy (dostarczono ich 160 tys. wobec wymaganych 100 tys.) W międzyczasie władze odrzuciły większość wniosków partii i ruchów obywatelskich, w tym działających na rzecz sztabu Babaryki, których przedstawiciele chcieli zasiadać w komisjach wyborczych. Oznacza to, że będziemy mieli do czynienia z wyborami w stylu lat poprzednich, kiedy oficjalne wyniki, najdelikatniej mówiąc znacznie odbiegały od społecznych nastrojów.

Teraz tylko skala fałszerstw i manipulacji będzie większa. Badania przeprowadzone w internecie wskazują, że wśród jego użytkowników poparcie dla Łukaszenki niewiele przekracza 3% (Babaryka ma ponad 50%). Inne sondaże, których wyniki przeciekły do opinii publicznej, wskazują, że urzędujący prezydent może liczyć na 20-25% głosów. Nie przeszkodzi

to jednak – jak można sądzić z wielu publicznych deklaracji Łukaszenki, który mówi wprost, że władzy nie odda – w przeprowadzeniu głosowania według własnego scenariusza. Zagrożenie Majdanem, które rośnie na Białorusi w obliczu wyraźnie manifestowanego przez społeczeństwo niezadowolenia z rządów Łukaszenki, będzie wpychało reżim w objęcia Moskwy.

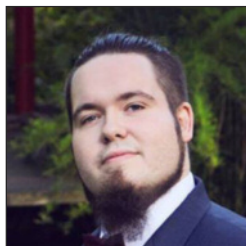
**Zagrożenie Majdanem, które rośnie na Białorusi w obliczu wyraźnie manifestowanego przez społeczeństwo niezadowolenia z rządów Łukaszenki, będzie wpychało reżim w objęcia Moskwy. Tym bardziej, że Unia Europejska już zagroziła nową falą sankcji**

Tym bardziej, że Unia Europejska już zagroziła nową falą sankcji, o ile głosowanie 9 sierpnia nie będzie przebiegało w zgodzie z demokratycznymi standardami, a sytuacja gospodarcza ulega szybkiemu pogorszeniu. Łukaszenka ratuje się zaciąganiem kolejnych kredytów i plasowaniem obligacji na europejskim rynku (pod koniec czerwca rząd pożyczył 1,25 mld dolarów), ale już teraz obsługa zadłużenia zagranicznego, nie mówiąc o spłacie, kosztuje statystyczną białoruską rodzinę złożoną z 4 osób rocznie 600 dolarów, a to niemało w kraju, w którym średnia pensja miesięczna wynosi poniżej 500 dolarów.

Zbudowane przez Łukaszenkę post-sowieckie państwo bezpieczeństwa socjalnego właśnie wchodzi w stan upadłości. Bez reform, których reżim nie chce –

bankructwo jest nieuchronne. Kiedy to nastąpi, masę upadłościową najprawdopodobniej przejmie Moskwa, choć młodzi i aktywni wybiorą zapewne emigrację.

## Między Tutsi a Hutu. Jak zjednoczyć skłócone społeczeństwo



### KONRAD GADERA

Publicysta specjalizujący się w zagadnieniach dotyczących polityki, kultury i historii Afryki Subsaharyjskiej oraz Azji Środkowej. Stał współpracownikiem portalu konflikty.pl. Publikował między innymi na łamach portali geopolityka.net, histmag.org oraz czasopisma „As-Salam”.

### **Aby odbudować Rwandę, wyniszczoną krwawymi walkami między Tutsi a Hutu, Paul Kagame podjął próbę stworzenia państwa opartego o wspólnotę obywatelską, a nie etniczną**

Prezydent Rwandy, Paul Kagame, dla wielu młodych Afrykanów jest symbolem tego, że i oni mogą odnieść sukces. Od uchodźcy i żołnierza aż po prezydenta-reformatora – jego historia życia rezonuje z doświadczeniami młodych mieszkańców kontynentu. Wielu podziwia jego bezkompromisowe podejście do rozwiązywania problemów połączone z otwartością na nowe idee. Kim jest człowiek, który doprowadził do „rwandyjskiego cudu”?

#### **Bohater wojenny**

Urodzony 23 października 1957 roku w rodzinie Tutsich, Kagame już we wczesnej młodości doświadczył waśni etnicznych, rozdierających rwandyjskie społeczeństwo. Napięcia między Tutsi i Hutu doprowadziły do rewolucji, która trwała od 1959 aż do 1961 roku. Wtedy też w obawie przed prześladowaniami rodzina przyszłego prezydenta uciekła do sąsiedniej Ugandy. Młody Paul szybko odnalazł się w nowym środowisku i uczęszczał do szkoły Ntare – jednej z najlepszych pla-

cówek edukacyjnych dla chłopców w kraju. Tam poznał przyszłego przywódcę Ugandy Yoweriego Museveniego. Wtedy też opanował język angielski i zdobył kontakty, które w przyszłości okazały się kluczowe.

Kilka lat później, podobnie jak wielu młodych uchodźców, dołączył do rebeliantów, którzy pod wodzą Museveniego przeprowadzili skuteczną kampanię przeciwko dyktatorowi Idiemu Aminowi. Po zdobyciu władzy w Ugandzie, Museveni wynagrodził swoich stronników. Paul Kagame objął stanowisko szefa wywiadu wojskowego i wspólnie z dawnym towarzyszem broni z czasów wojny przeciwko Aminowi, Fredem Rwigyemą, zbudował siatkę rwandyjskich oficerów w ugandyjskich siłach zbrojnych.

W 1990 roku Rwigyema wraz z czterema tysiącami żołnierzy wkroczył do Rwandy. Zorganizowany przez niego Rwandyjski Front Patriotyczny (RFP) poniósł ciężkie straty, a już trzeciego dnia walk Rwigyema poległ. Paul Kagame przebywał wówczas w Stanach Zjednoczonych. W uznaniu zasług, widząc potencjał w am-

bitnym żołnierzu, prezydent Ugandy wysłał go do szkoły wojskowej w Fort Leavenworth w stanie Kansas. Kagamemu nie było dane jednak kontynuować edukacji, ponieważ musiał wrócić i objąć dowództwo nad pozostałymi siłami RFP. Gdy w 1994 roku rozpoczęło się ludobójstwo w Rwandzie, widząc pasywność społeczności międzynarodowej Kagame rozpoczął ofensywę, która zatrzymała się dopiero pod Kigali.

**Zachodnioeuropejskie organizacje zarzucają Kagamemu naruszanie praw człowieka, ograniczanie wolności politycznej opozycjonistów czy autokratyczne wprowadzanie drakońskich przepisów. Jednak w samej Afryce obraz prezydenta Rwandy jest niemal jednogłośnie pozytywny**

Dowodzący oddziałami UNAMIR (Misji Organizacji Narodów Zjednoczonych do spraw Pomocy Rwandzie) generał Roméo Dallaire z podziwem obserwował dobrze zorganizowane siły RFP, które odnosiły sukcesy mimo przewagi liczebnej przeciwnika. Oponenci Kagamego tak bardzo skupili się na mordowaniu cywilów, że nie potrafili zorganizować skutecznej kontrofensywy, i późniejszy prezydent wykorzystał ten fakt. Wykorzystując niskie

morale żołnierzy rwandyjskich sił zbrojnych, 4 lipca 1994 roku złamał ich opór i wkroczył do stolicy.

Po zakończeniu ludobójstwa nowe władze stworzyły rząd, mający odbudować kraj, który stracił ponad  $\frac{1}{3}$  obywateli, a niemal wszyscy, którzy przeżyli, pogrążeni byli w traumie związanej z okrucieństwem wojny domowej. W nowej rzeczywistości Paul Kagame nie sięgnął po najwyższy urząd. Otrzymał stanowiska wiceprezydenta i ministra obrony, jednak faktycznie posiadał pełnię władzy. Postawiony na czele państwa Pasteur Bizimungu, etniczny Hutu, nie mógł rywalizować o wpływ z inteligentnym i ambitnym bohaterem wojennym, który postrzegany był jako ten który zatrzymał ludobójstwo.

Mając niemal całkowitą swobodę działania, Kagame rozpoczął odbudowę kraju. Problemów było wiele – od napięć etnicznych i chęci odwetu za niedawną tragedię, przez rozkład gospodarki aż po przenikającą niemal każdy element rwandyjskiej rzeczywistości korupcję.

### Przebudowa kultury

Tym, co doprowadziło do ludobójstwa, była nieufność i napięcia między dwiema największymi grupami etnicznymi – Tutsi i Hutu. W czasach panowania Belgii utrzymywano, że są to osobne rasy ludzkie i przynależność etniczną wpisywano do dokumentów. Polityka kolonialna faworyzowała Tutsich, a europejscy urzędnicy wykorzystywali ich do nadzorowania pracujących głównie w rolnictwie Hutu. Wzmocniło to niechęć między społecznościami, które wielokrotnie chwyciły za broń, co ostatecznie doprowadziło do ludobójstwa. Paul Kagame widział, do czego doprowadziła tego rodzaju polityka, dlatego od początku postawił sobie za cel



stworzenie społeczeństwa opartego o wspólnotę obywatelską, a nie etniczną. Rząd usunął z dokumentów wszystkie odwołania do etnosu. Według krytyków tego rodzaju posunięć jest to zamiatanie sprawy pod dywan. Jednak sami Rwandyjczycy zgadzają się z posunięciami prezydenta. Bosco Manishaka, dyrektor szkoły podstawowej w Kigali, w rozmowie z dziennikarzami powiedział, że uczniowie wiedzą, że nie powinni rozmawiać o etniczności, a tragiczna historia ma służyć jako lekcja na przyszłość. Zarówno rząd jak i społeczeństwo uznali, że jedynie odwołanie się do wspólnoty obywatelskiej może uchronić kraj przed rozpadem lub ponownym zagrożeniem się w chaosie.

Rwandyjska opozycja uważa jednak, że to tylko gra pozorów. Jean-Népomuscène Nayinzira, lider Chrześcijańskiej Partii Demokratycznej, uważa że wypieranie się etniczności jest tylko fasadą, a społeczeństwo nadal uznaje stare podziały za istniejące. Pogląd ten jednak nie cieszy się szerokim poparciem – w wyborach prezydenckich Nayinzira zdobył 1% poparcia. Zbliżone do CHPD stanowisko przyjęto w sąsiednim Burundi. Struktura tamtejszego społeczeństwa jest podobna do rwandyjskiego, jednak władze postanowiły inaczej rozwiązać kwestię głębokich podziałów. Część urzędów mogą obsadzać przedstawiciele jednej, a część – drugiej grupy etnicznej, prezydentura zaś obsadzana jest naprzemiennie. Stwarza to systemowe zagrożenie dla stabilności państwa, w którym przynależność etniczna staje się czynnikiem determinującym możliwość objęcia poszczególnych funkcji w państwie.

Drugą decyzją rządu, równie radykalną co usunięcie wszelkich odwołań do etniczności, było porzucenie w edukacji języka francuskiego i wprowadzenie w jego

miejsce angielskiego. W 1994 roku w Rwandzie funkcjonowały dwa języki urzędowe: francuski i runda. Później do tego grona włączono również suahili i angielski. Stopniowe wprowadzanie języka angielskiego było procesem rozłożonym na wiele lat. Głównymi motywami była ściślejsza współpraca z państwami Afryki Wschodniej oraz łatwiejszy dostęp do gospodarki międzynarodowej. W 2003 roku podniesiono status angielskiego do poziomu jednego z języków urzędowych, a w 2008 zastąpił on francuski w rwandyjskich szkołach. Rok później Rwanda dołączyła do Wspólnoty Narodów jako drugi obok Mozambiku kraj, niebędący w przeszłości brytyjską kolonią.

Promowanie języka angielskiego związane było z chęcią zacieśnienia współpracy nie tylko z sąsiednimi Kenią i Ugandą, ale również Republiką Południowej Afryki. W zglobalizowanej rzeczywistości młodzi Rwandyjczycy łatwo podejmują naukę angielskiego, porzucając francuski, kojarzony z przeszłością i belgijskim kolonializmem. Vincent Karega, były minister handlu i przemysłu, oświadczył, że Rwanda musi patrzeć globalnie. Francuski używany jest jedynie w kilku krajach, natomiast dla pełnego uczestnictwa w światowej gospodarce konieczne jest opanowanie języka angielskiego do czego niezbędne są odpowiednio wykształcone kadry.

### **Kraj nowoczesnych technologii**

W polityce gospodarczej Paul Kagame od początku stawiał na związanie Rwandy z gospodarką światową i zachęcanie zagranicznych korporacji do inwestowania w kraju. Otwartość na nowoczesne technologie widać na każdym kroku. W Kigali działa system bezgotówkowych płatności w transporcie miejskim, w jednym ze sto-

łecznych zakładów powstał pierwszy opracowany w Afryce smartfon Mara, a rolnicy bezpośrednio sprzedają swoje produkty przez aplikację e-Soko. To tylko przykłady transformacji, jaką przeszła Rwanda od gospodarki opartej o eksport kawy do „afrykańskiego Singapuru”.

**Polityka kolonialna faworyzowała Tutsich, a europejscy urzędnicy wykorzystywali ich do nadzorowania pracujących głównie w rolnictwie Hutu. Wzmocniło to niechęć między społecznościami, które wielokrotnie chwyciły za broń, co ostatecznie doprowadziło do ludobójstwa**

Potencjał intelektualny wykorzystywany jest nie tylko w biznesie, ale również w usługach publicznych. Pracownicy socjalni otrzymali od rządu bezpłatne smartfony mające pomóc im w pracy, system TRACERT wykorzystywany jest do zarządzania danymi pacjentów zakażonych wirusem HIV, a poprzez ePedigree monitorowane jest badanie nowych leków. Nowoczesne technologie na stałe wpisały się już w rwandyjską rzeczywistość. Jest to zasługą promowania przez administrację prezydenta Kagamego gospodarki opartej na wiedzy i wprowadzenia szeregu ułatwień dla realizacji ambicji obywateli.

Rwanda obok budowy wizerunku kraju bezpiecznego i otwartego na nowe technologie prezentuje się jako przyjazne środowisko dla nowych przedsiębiorców. W 2005 roku potencjalny biznesmen musiał przebrnąć przez dziewięć etapów, aby zarejestrować firmę. Wprowadzono szereg ułatwień, które bardzo szybko przyniosły oczekiwane efekty. Od 2005 do 2009 roku wartość bezpośrednich inwestycji zagranicznych wzrosła piętnastokrotnie. Władze utrzymały politykę ułatwień i w 2011 założenie firmy wymagało już tylko dwóch procedur, które nie zajmowały dłużej niż trzy dni.

#### **Indywidualna inicjatywa i jedność społeczna**

Paul Kagame podczas odbudowy kraju stawiał na indywidualną inicjatywę i przedsiębiorczość Rwandyjczyków. W przeciwieństwie do innych afrykańskich prezydentów, nie został skuszony przez wizję socjalistycznego przejęcia kontroli nad gospodarką jak miało to miejsce w Ghanie czy Tanzanii. Postawienie na przedsiębiorczość nie oznaczało jednak zaniedbań w sferze społecznej.

Projekt zjednoczonego i „bezetnicznego” społeczeństwa wymagał zbudowania więzi na poziomie lokalnych społeczności. Jednym ze sposobów na promowanie tego rodzaju ideałów było wprowadzenie w 2009 roku umugandy. W ostatnią sobotę miesiąca wszyscy Rwandyjczycy w ramach swoich lokalnych społeczności przez trzy godziny wspólnie sprzątają swoją okolicę. Uczestnictwo jest obowiązkowe, a niestawienie się grozi karą w wysokości pięciu tysięcy franków (około dwudziestu złotych). Program odwołuje się bezpośrednio do przedkolonialnych zwyczajów, dlatego mógł zostać wykorzystany jako jeden z ele-

mentów budowy nowej Rwandy. Mieszkańcy podporządkowali się nowemu prawu, co przyniosło widoczne efekty. W 2018 roku na Forum Ekonomicznego w Davos stojący na czele Programu Środowiskowego ONZ Eric Solheim określił Kigali jako najczystsze miasto na świecie.

Wspólne sprzątanie to tylko jeden z rwandyjskich sposobów na ochronę środowiska naturalnego. Innym jest wprowadzony w 2008 roku całkowity zakaz produkcji, sprzedaży oraz importu plastikowych toreb i opakowań. Z tych regulacji wyłączone jest tylko kilka sektorów gospodarki, takich jak produkcja leków i środków medycznych.

Również w kwestii równości płci administracja prezydenta Kagamego podjęła ogromne wysiłki, stając na czele zmian na kontynencie. Aktywne promowanie edukacji oraz równości w dostępie do szkół zaowocowało tym, że Rwandyjki mają jeden z najlepszych dostępow do nauki na świecie. Pod względem równości

płci Rwanda znajduje się wśród pięciu najlepiej ocenianych państw świata. 60% posłów w parlamencie to kobiety (prawo gwarantuje parytet na poziomie 30%) a państwo aktywnie wspiera inicjatywy zachęcające wszystkich obywateli i obywatelki do aktywnego uczestnictwa w życiu publicznym. Jest to efekt utrzymania długofalowej polityki promowania ludzi kompetentnych niezależnie od ich płci czy pochodzenia etnicznego.

Kagame budzi także kontrowersje. Sprawując faktyczną władzę od prawie trzydziestu lat, był wielokrotnie oskarżany o bycie miękkim dyktatorem. Szczególnie zachodnioeuropejskie organizacje zarzucają mu naruszanie praw człowieka, ograniczanie wolności politycznej opozycjonistów czy autokratyczne wprowadzanie drakońskich przepisów. Jednak w samej Afryce obraz prezydenta Rwandy jest niemal jednogłośnie pozytywny. Skupienie pełni władzy dało mu możliwość radykalnego przebudowania kraju.

## Reklama

### Pod uwagę działaczom religijnym, politycznym i społecznym:

## Chrześcijańska myśl ekonomiczna

Chrześcijańska myśl ekonomiczna stanowi kierunek badania znaczenia Przykazań Dekalogu: „Nie kradnij!” i „Nie pożądaj własności bliźniego!” dla ekonomii i gospodarki, oraz na wyciąganiu wniosków z wyników tych badań w celu ich wykorzystania w nauce ekonomii i polityce gospodarczej. Inspiracją tej myśli jest stwierdzenie, że ponieważ aż dwa te Przykazania mają za cel ochronę własności człowieka, czyli ochronę własności prywatnej, to znaczy, że Stwórca nadał nienaruszalności instytucji własności prywatnej wysoką rangę. Stanowi ona dobro nierozzerwalne z człowieczeństwem. Pod pojęciem „własność prywatna” rozumie się, oczywiście, dobro uczciwie nabyte przez człowieka, a nie dobro przez niego posiadane, lecz nabyte drogą jakiegokolwiek rodzaju kradzieży.

Wyniki badań powyższego wpływu okazują się rewelacyjne. Okazuje się, że łamanie przez ludzi i ich rządy Przykazania „Nie kradnij!”, poprzedzane na ogół łamaniem Przykazania „Nie pożądaj własności bliźniego!”, czyli, inaczej mówiąc – kradzież jest główną przyczyną, lub samą istotą, prawie wszystkich poważnych krajowych i międzynarodowych problemów i kryzysów gospodarczych wiodących do biedy i różnych niepożądanych efektów społecznych. Im powszechniejsze zjawisko kradzieży we wszelkich jej formach, a szczególnie w formach grabieży zalegalizowanej przez państwo i popełnianej na różne sposoby, często „w majestacie prawa”, na obywatelach, tym poważniejsze hamowanie rozwoju gospodarczego i dobrobytu. Do tych sposobów zaliczyć należy, między innymi:

- 1) zaciąganie pożyczek państwowych bez wiedzy i zgody obywateli, którzy wraz ze swym potomstwem pożyczki te będą musieli spłacać;
- 2) drukowanie papierowych pieniędzy bez ich pokrycia w przyroście bogactwa narodowego, co powoduje inflację i obniżanie wartości pieniędzy już posiadanych przez obywateli;
- 3) przyznawanie przez władze różnych licencji, monopoli i innych przywilejów wybranym ludziom lub grupom ludzi, kosztem wszystkich pozostałych;
- 4) tworzenie w instytucjach państwowych tak zwanych stanowisk pracy, pracy bezproduktywnej i pasożytniczej, będącej przykrywką do dzielenia się pieniędzmi z kieszeni podatnika;
- 5) sprzecznie z zasadą równości wszystkich obywateli wobec prawa, zalecane przez Marksa opodatkowanie wybiórcze (progresywne) ludzi zamożniejszych, a tym samym karanie ich za to, że w gospodarce rynkowej stali się nimi dzięki swej pra-



## Reklama

- cowitości, zaradności, uczciwości, wyrzeczeniom, oszczędzaniu i zaspokajaniu potrzeb innych ludzi owocami swej działalności;
- 6) opodatkowanie na cele nie służące dobru całego społeczeństwa, lecz tylko niektórych jego grup;
  - 7) łamanie prawa podaży i popytu, przez narzucanie cen minimalnych lub maksymalnych za jakieś dobra – a więc okradając właściciela danego dobra z prawa do swobodnego dysponowania swą własnością;
  - 8) szerzenie i praktykowanie korupcji poprzez tworzenie korupcjogennych urzędów dla „swych” ludzi i ochrona ich działań drogo kosztujących całe społeczeństwo;
  - 9) praktykowanie socjalizmu poprzez bezpośrednią konfiskatę własności prywatnej na rzecz państwa i jego różnych instytucji;
- itd., itd.

W świetle powyższego jasne jest, dlaczego państwa socjalistyczne i „opiekuńcze” oparte na „uszczuplaniu” i konfiskacie własności prywatnej prowadzą kraje do bankructwa, a rodziny i społeczeństwa do rozkładu.

Przyjęcie powyższego do wiadomości powinno być szczególnie łatwo akceptowane przez nas, chrześcijan, dla których Dekalog, będący zbiorem nakazów i zakazów pochodzących od Stwórcy, jest jednym z filarów wiary. Szczególnie czujni winniśmy być na znaczenie nieraz spotykanych haseł o potrzebie realizacji zasad sprawiedliwości społecznej (co, między innymi, jest wyrażone w Artykule 2 obecnie obowiązującej Konstytucji RP), bo często bywają one pośrednim wzywaniem do łamania Przykazania 10 („Nie pożądaj żadnej rzeczy należącej do bliźniego”) i do przymusowego wyrównywania międzyludzkich nierówności majątkowych i społecznych, drogą zalegalizowanej grabieży i kradzieży gwałcącej Przykazanie „Nie kradnij!” i chrześcijański nakaz miłości bliźniego, a są inspirowane przez różnych popleczników marksizmu, którego, jak wiadomo, jednym z podstawowych dogmatów jest konieczność likwidacji własności prywatnej. Nieopatrna akceptacja takich haseł przez katolików, mimo, że nigdzie w Piśmie Świętym nie ma potępienia, a nawet tylko dezaprobaty nierówności międzyludzkich, stanowi sukces infiltracji wrogiej chrześcijaństwu ideologii marksistowskiej do Kościoła. Chrześcijańska myśl ekonomiczna służyć może za narzędzie intelektualne w zwalczaniu tej infiltracji. Niezależnie od tego zachęca ona patriotów pragnących jak najlepiej dla swego kraju, aby nie pozwalali rządzącym na ustanawianie i egzekwowanie praw okradania obywateli przez państwo, a doprowadzali do likwidacji takich praw już istniejących.

**JAN MICHAŁ MAŁEK**  
Założyciel Fundacji PAFERE

## Misja

Świat intelektualny – od uniwersytetów po media – nie nadąża dziś za gwałtownymi przemianami rzeczywistości politycznej, gospodarczej i społecznej, opisując je za pomocą kategorii z poprzednich epok. To zasadniczo obniża jakość rządzenia, które wymaga rozstrzygnięcia dylematów przy użyciu wiedzy dostępnej w danej chwili. Deficyt tej ostatniej zwiększa ryzyko decyzji błędnych lub wręcz katastrofalnych, jak również – dominacji fałszywych ideologii. Polski dotyczy to w stopniu szczególnym, ze względu na trudne położenie geopolityczne i słabość intelektualną (uniwersytetów, mediów, think tanków).

„Nowa Konfederacja” stara się temu kryzysowi myśli przeciwdziałać na cztery zasadnicze sposoby:

- 1) Poprzez formułę thinkzine'u: pierwszego w Polsce i prawdopodobnie na świecie think tanku i magazynu publicystycznego w jednym, umożliwiającą lepszą komunikację i synergię między ekspertami z różnych dziedzin oraz między specjalistami a publicystami i intelektualistami; wszystko po to, aby po pierwsze zwiększać poziom wiedzy specjalistycznej, a po drugie (i ważniejsze) budować całościowy obraz rzeczywistości;
- 2) Poprzez kształtowanie opinii elit;
- 3) Poprzez oddziaływanie na główny nurt debaty za pomocą komentatorstwa politycznego;
- 4) Pełniąc rolę pośrednika między światem ekspercko-akademickim a medialnym.

Działamy w duchu polskiej tradycji republikańskiej, uważając ją z jednej strony za najbardziej chwalebny dorobek rodzimej polityki, z drugiej za inspirację do rozwiązywania współczesnych problemów, na czele z fałszywymi dylematami: państwo czy wolność, wolność czy wspólnota. Dziś potrzebujemy jednocześnie więcej państwa, więcej wolności i więcej wspólnoty. Wyzwania tak dla politycznej podmiotowości, jak i wolności są bowiem bezprecedensowe – taka musi też być odpowiedź.

Jesteśmy konfederacją – związkiem obywateli dążących razem do dobra wspólnego, w sytuacji, gdy inne instytucje zawodzą.

Jesteśmy niezależni tak od partii politycznych, jak i od rywalizacji na klikalność. Jest to możliwe przede wszystkim dzięki hojności naszych Darczyńców. Utrzymanie niezależności i poziomu merytorycznego oraz dalszy rozwój, przybliżający realizację powyższych celów, zależą od utrzymania i rozwoju finansowania poprzez bezwarunkowe darowizny na cele statutowe.

Jeśli cenisz „Nową Konfederację” – wesprzyj ją.

## Działalność

Do listopada 2017 r. „Nowa Konfederacja” była pierwszym w Polsce internetowym miesięcznikiem idei (pierwszych 51 numerów ukazało się w formule e-tygodnika, między październikiem 2013 a wrześniem 2014). Dziś „Nowa Konfederacja” to prawdopodobnie pierwszy na świecie thinkzine. To nowa forma instytucji eksperckiej i publicystycznej jednocześnie. Umożliwia to z jednej strony lepsze niż dotąd gromadzenie i tworzenie wiedzy specjalistycznej, z drugiej: efektywniejszą pracę nad całościowym opisem rzeczywistości publicznej.

Do tej pory podstawowym sposobem prezentacji takich owoców była publicystyka, która cały czas odgrywa ważną rolę w naszej działalności. Obecnie każde kolejne wydanie e-miesięcznika zawiera 10 materiałów – artykułów analitycznych, esejów, wywiadów. Dwa razy w tygodniu publikujemy komentarze reagujące na bieżące wydarzenia. Swoje miejsce ma u nas także felieton – wymierający gatunek na pograniczu dziennikarstwa i literatury pięknej, ukazujący się co najmniej raz w miesiącu.

Od listopada 2017 roku stawiamy także na działalność ekspercką. Specjaliści od spraw ustrojowych, międzynarodowych, prawa, obronności, gospodarki, samorządu i nie tylko publikują w „Nowej Konfederacji” raporty, analizy, komentarze eksperckie.

Zarówno publicyści, jak i eksperci związani z „Nową Konfederacją” występują w mediach, zarówno pracując w różnych tytułach, jak i występując w nich gościnnie czy komentując dla nich bieżące wydarzenia. Jesteśmy obecni na łamach największych polskich dzienników i tygodników, w internecie, na falach stacji radiowych, regularnie występujemy także w programach telewizyjnych stacji publicznych i prywatnych.

Ważnym elementem naszej działalności są także otwarte debaty, które organizujemy co najmniej raz w miesiącu. Zaproszeni przez nas goście – naukowcy, politycy i dziennikarze – dyskutują wokół kolejnych naszych publikacji, a także na bieżące tematy społeczno-polityczne. Jesteśmy obecni także w mediach społecznościowych – na Facebooku, Twitterze czy YouTube.

## „Nową Konfederację” tworzą

**Stali Darczyńcy:** Bartłomiej Kachniarz, Piotr Kubiak, Michał Macierzyński, Jerzy Martini, „mieszkaniec Bytomia”, Jakub Stychno, Marcin Sławeta, Michał Kocur, Remigiusz Iwuć, Piotr Ogiński, Damian Szczerbaty, Szymon Radziszewicz, Krzysztof Szatan oraz Anonimowi Darczyńcy

**Pozostali Darczyńcy:** Jacek Bartosiak, Piotr Remiszewski, Piotr Woźny, Andrzej Dobrowolski, Krzysztof Poradzisz, Marek Nowakowski, Karol Tatara oraz Anonimowi Darczyńcy (Lista Darczyńców jest uaktualniana na początku każdego miesiąca)

**Zespół:** Kołodyńska-Magdziarz (Sekretarz zespołu), Jarema Piekutowski, Bartłomiej Radziejewski (Dyrektor), Stefan Sękowski (Zastępca dyrektora, kierownik sekcji Publicystyki), Anna Szczerbata, Paulina Raczyńska, Marcin Chruściel

**Stali współpracownicy:** Paweł Behrendt, Łukasz Kobeszko, Michał Lubina, Stanisław Maksymowicz, Rafał Matyja, Anna Mieszczanek, Andrzej Mikosz, Adam Radzimski, Marek Wojnar, Karol Zdybel, Adam Michalak, Witold Sokała, Piotr Celiński, Patryk Gorgol, Krzysztof Sękowski

**Współpracownicy:** Michał Beim, Ludwik Dorn, Błażej Duber, Stanisław Gasik, Tomasz Geodecki, Tomasz Grzegorz Grosse, Elżbieta Hibner, Maria Libura, Damian Maziarz, Filip Memches, Tomasz Pichór, Radosław Piekarz, Tomasz Pućrół, Witold Repetowicz, Jan Rokita, Błażej Sajduk, Wojciech Stanisławski, Zbigniew Stawrowski, Barbara Szewczyk, Artur Wołek, Krzysztof Wołodźko, Roman Graczyk, Paweł Średziński, Andrzej Horubała

**Grafika (okładki):** Piotr Promiński

**Korekta i redakcja stylistyczna:** Jarema Piekutowski, Stefan Sękowski

**Skład:** Rafał Siwik

**Wydawca:** Fundacja Nowa Rzeczpospolita

**Kontakt:** redakcja@nowakonfederacja.pl